EPOKA

ROK IV. Warszawa, 5 czerwca 1937 r. Rok IV, Nr. 11 (90)

Treść numeru:

Doradcy generała Galicy

Pan generał Galica wygłosił w Białymstoku mowę na zebraniu Obozu Zjednoczenia Narodowego. Mówił o nędzy na wsi, o potrzebie poprawienia doli chłopów, o podniesieniu produkcji, o oświacie i o chlebie, bez którego wieś karleje i staje się niezdolną do obrony kraju. Wskazywał, zgodnie z deklaracją płk. Koca, na potrzebę przesiedlania się chłopów do miast do pracy w handlu i rzemiośle. Wreszcie o konieczności ustawy zabraniającej podziału chłopskiej ziemi.

Nie po to wzięliśmy pióro do ręki, aby krytykować gen. Galicę. Jesteśmy przekonani, że odczuwa szczerą troskę o wieś i o państwo. Generał Galica wierzy w to, co mówi, wierzy, że jego wywody mają podkład istotny, realny.

Jest w mowie gen. Galicy wiele niedomówień. Są ogólniki, brak wyraźnego programu. Niewiadomo, jak się to wszystko ma zrealizować. Tak samo, jak niewiadomo było dotąd, gdy zdania te i słowa wychodziły z ust innych. Jest to brak fatalny. Wszak dzięki temu brakowi wyraźnego programu co do przebudowy kraju, stale rozpadały się byłe stronnictwa chłopskie, których rola ograniczała się do rzucania haseł. Podkreśliliśmy nasze zdanie co do rzetelnej wiary pana generała w to, co mówi. Nie osłabia to naszego przekonania, że gen. Galica nie orientuje się w obecnej sytuacji. Boć, naprzykład, ustawa zabraniająca podziału ziemi chłopskiej, nie tylko może, lecz musiałaby wzniecić masowe stosowanie... wskazań Malthusa. Na to nie ma rady i z tym się trzeba liczyć. Przesiedlanie chłopów do handlu i rzemiosła, to również nie jest łatwa sprawa. Sztuczne tworzenie mieszczaństwa jest wogóle fikcją. Będzie się kończyło ruiną adeptów, tym większą, im więcej będzie się ich rzucało do handlu. Do handlu, który ma liche perspektywy rozwoju, i który, jeśli się gdzieindziej rozwinął, uczynił to na drodze naturalnej, dogodnej w swoim czasie ekspansji. Zresztą jest to droga, pomijając jej śliskość, bardzo daleka, gdy tymczasem Polska wymaga reform natychmiastowych. W tej chwili jednak interesują nas głównie interpretatorzy i doradcy z endecji i neo-endecji z „Kurjera Porannego", którzy nagwałt pospieszyli z radami i wnioskami dla O. Z. N. Pospieszyli chytrze, sprytnie, patriotycznie, „narodowo"...

Posłuchajmyż więc, jak neo-endecy z „Kurjera Porannego" owieńczyli mowę gen. Galicy. Oto wyjątek z artykułu „Kur. Por." „Wieś i sprawy najważniejsze (z dn. 20 ub. m.):

„Chłopi, bezpośrednio i niejako fizycznie związani z ziemią, odczuwają szczególnie silnie przywiązanie do niej, a zatem ich uczucia patriotyczne są wyjątkowo mocno ufundowane i stanowią czynnik o niezłomnej, dyna-

micznej potędze, zwłaszcza, że na wsi polskiej znajduje się przecież rezerwuar czystych sił rasowych polskich".

I dalej:

Zapomina się o tym w miastach, gdzie ignorancja w sprawach wiejskich jest przerażająca. Zapomina się również o tym nieraz na wsi, gdzie niektórzy przewódcy polityczni wciąż jeszcze uważają chłopów za pariasów, mających dopiero walczyć o swe prawa w kraju. Hasła, które były aktualne we Francji przed 150 laty, usiłuje się wznawiać w Polsce, gdzie chłop istotnie winien już „przejść z przeżytej i poniżającej roli pańszczyźnianego chłopa, do twórczej i zaszczytnej roli kmiecia".

„Walka o prawa wsi w Polsce jest przeżytkiem. Wieś te prawa posiada w całej pełni. Musi się natomiast potoczyć akcja o całkowite wykorzystanie przez chłopa jego pozycji dominującej w Polsce, o „odgięcie i wyprostowanie go w swej dumie i honorze", o wzmożenie jego poczucia odpowiedzialności za całość kraju.

„Rola bowiem chłopa w Polsce wzrastać będzie w miarę, jak będzie on występował już nie tylko w obronie swych praw stanowych, ale jako najpoważniejszy współodpowiedzialny i współzarządzający z innymi warstwami gospodarz tego kraju. Spychanie stanu chłopskiego do roli klasy, walczącej o swe postulaty z innymi klasami, zwęża i poniża rolę chłopa w Polsce. Oddaje mu złą usługę. Szkodzi jego pozycji moralnej".

Czujemy w tych słowach przede wszystkim chęć stuszowania grozy przeraźliwej nędzy, o której mówił gen. Galica i o której wiemy wszyscy. Nie będzie tak źle, — wołają panowie z „Kuriera" skoro chłop związany z ziemią, nawet na ½, 1, 2, 3, ha ma wyjątkowo „silne uczucie patriotyczne". Wytrzyma. Bądźcie spokojni! „Chłopu w Polsce praw nie brakuje", (uzupełnijmy to zdanie: jak „nie brakowało" mu przed wiekiem, gdy w starych kronikach czytamy, że „kmiotek nasz niczego nie potrzebuje i niczego nie żąda, byle miał spokój"). Oto mimo niesłychanej pauperyzacji chłopstwa, wróciliśmy i do „kmiecia". Jest to swoiste dziś pojęcie, cechujące psychologię panów z „Kurjera". Czujemy ją dobrze, spleśniałą od stuleci. Czujemy chęć zepchnięcia chłopów tam, gdzie byli, odseparowania, odrzucenia za piecy reszty społeczeństwa. To stanowisko pokrywa się dopiero frazesem o micie potęgi chłopskiej, która będzie rosła „w dumie i honorze" pod pieczołowitą opieką księży i różnych dobrodziejów. A dopiero wtedy ma wzrastać rola chłopa, gdy zacznie się on troszczyć nie tyle o siebie i swoje dzieci, ale gdy w pokorze zasiądzie radzić — jako „odpowiedzialny gospodarz kraju". Więc jeszcze nie czas na odpowiedzialność chłopską! Dopiero gdy chłop zakłopocze się o tych, którzy się dziś niebywale o chłopa „kłopoczą" t. j. o obszarników i kler, wtedy dopiero zostanie uznany za gospodarza kraju. Oceną jego wartości i dojrzałości, dadzą, rzecz jasna — sfery wyższe.

Ta kapitalna metoda spychania chłopa w dół, wiedzie szybko do celu, lecz zgoła nie do takiego, jakiego sobie życzą panowie z „Kurjera". Jeśli panom tym nic nie mówią walki polityczne chłopów, a Nowosielce uważają za szatański wymysł — jesteśmy spokojni, co do wpływów panów z „Kurjera" wśród chłopów. Ale trzeba mieć dużo odwagi, dużo pewności siebie i zarazem niefrasobliwości, aby w wieku XX mówić słowami wieku XVII-go.

Maria Dąbrowska w książce swojej „Rozdroże" oddała usługę społeczeństwu i Polsce głównie tym, że zebrała z różnych dzieł cytaty, dowodzące przewrotności szlachetczyzny w Polsce. Uwypukliła jasno, jak we wszelkich, nawet najgroźniejszych dla kraju chwilach, szlachta potrafiła wszelkie hasła przystosować do swoich osobistych interesów, zarażając swoją psychologią mieszczaństwo i inteligencję. Ta to psychologia szlachetczyzny przedrzemała okres niewoli i dominuje nad umysłowością Polski współczesnej. Ona tamuje człowiekowi dostęp do wiedzy, do historii, którą stara się zatrzeć, zawrzeszczeć, skoro jest niewygodna na dzisiaj. Gdyby myśl polska nie była zatruta bezwładem, lecz przeciwnie gdyby była czynna i żywa, nie zachodziłaby potrzeba tak częstego przypominania historii. Kto ze światłych ludzi w Polsce może nie wyciągnąć nauki z losów kraju, insurekcji Kościuszkowskiej, następnych powstań, głosów na puszczy Kołłątaja, Mochnackiego i innych! Jeśli chodzi o ów rzekomy mit przywiązania chłopskiego do ziemi, czyż nie należało zauważyć choćby „Kwestii rolnej" Ludwika Krzywickiego, lub zjawisk tak charakterystycznych i niekiedy masowych jak wychodźtwo i handel ziemią? Czyż to tak trudno pojąć, że człowiek szuka lepszej doli. Lecz, niestety, umysłowość polska zatruta dawno, kuleje po dziś dzień. Poprostu nie pełni swoich zadań.

Gdyby nie ciążąca nad umysłowością polską stara tradycja szlachetczyzny, podtrzymywana dziś głównie przez tak zwane „Stronnictwo Narodowe", „zaplute karły", jak się wyrażał Marszałek Piłsudski o wiernych spadkobiercach szlacheckiego warcholstwa i oportunizmu, nie miałyby w Polsce nic do powiedzenia. Tymczasem z wyjątkiem krótkiego okresu rządów Marszałka Piłsudskiego, oportunistyczno-szowinistyczne wpływy szlachetczyzny dominują stale nad Polską. Nikt nie miał odwagi rozprawić się z tym nie stronnictwem, lecz anarchią, buszującą, jak na sejmach, sejmikach i zajazdach dawnej Rzplitej*). Program? Po co im program! Wystarczy... antysemityzm i klerykalizm. A przecież zastanówmy się tylko: jak wyglądałaby Polska pod takim rządem, któryby ostatecznie zakłamał opinię publiczną mitem przywiązania chłopa do roli i próbował siłą wcisnąć chłopu kulturę kantyczki. W to kłamstwo chłopi nie wierzyliby napewno, takiej idei nie przyjęliby, ale wówczas cóżby chłopom pozostało, jeśli nie wycofanie się do reszty na własne pozycje i zamknięcie się w tragicznym separatyźmie?

Po śmierci Marszałka Piłsudskiego pewne ośrodki polityczne zdawałoby się najmniej do tego powołane zaczęły wykonywać zlecenia endeckie. Na naszych oczach odbywa się coraz wścieklejszy nacisk endecji i coraz większe ustępstwa sanacji. Nie trzeba zbyt wielkiego wysiłku, aby dostrzec, że okrążanie sanacji już się zaczęło oddawna. Chodzi nadewszystko o te jednostki, które jeszcze nie utraciły wiary w Polskę naprawdę odnawianą przez żywe siły młodej generacji chłopów i robotników. To o tych ludzi mających jeszcze wiarę w żywą Polskę i mających wpływ na państwo, odbywa się bój. Chodzi o dogięcie ich karków do ideologii i psychologii starej Polski, Ale doginanie to nie może się dziś odbywać według starych form i zasad. To nie są czasy Mochnackiego. Wtedy mówiło się prosto i otwarcie o Mochnackim, jako o burzycielu, a o chłopie, jako o wole roboczym. Załgało się potym tego chłopa w oczach opinii inteligenckiej i mieszczańskiej. (Patrz artykuły w „Epoce" Nr.

*) Pamiętajmy, że kulminacyjne przeżycia Str. Narod. wyrażają się w takich postaciach, jak np. Niewiadomski, Doboszyński, oraz ich inspiratorzy moralni.

10 — 11 z 36 r. i Nr. 4 z 37 r.). Nic też dziwnego, że nowa Polska, źle rozumiejąc chłopów, w okresie swej glorii, chcąc „odchamić" tę olbrzymią masę narodową, zaczęła się do chłopów modlić, jak do świętych pańskich. W tej szlachetnej modlitwie znów chłop zaginął. Stał się czymś, czego pojąć było nie sposób.

Dość długo stara Polska broniła się, aby ją ta zaraza mitu chłopskiego, idącego od nowej Polski, nie ogarnęła. Użyto wszelkich wpływów i ambon, aby się chłop od walczącej nowej Polski odżegnał, aby jej nie poznał, a w ten sposób aby i tę walczącą Polskę do siebie zraził. Dopiero gdy to się nie udało, gdy na wsi pojawili się bohaterscy tej nowej Polski pionierzy, stara Polska zaczęła dokonywać zwrotu. Zaczęto podsuwać swoje mity i idee, próbowano dopasować tę nową Polskę do swoich celów. Żyją dziś jeszcze chłopi, którzyby wiele mogli powiedzieć o zakładaniu w okresie niewoli „bibliotek" przeciw bibliotekom, „spółek" przeciw spółkom. Byle wytrącić chłopu samodzielność z rąk, byle go ujarzmić.

To wszystko się nie udało. Chłop poszedł i idzie swoją drogą. Mówmy otwarcie: dziś chłop wali całą lawiną. I oto stara Polska próbuje na gwałt przeciwstawić chłopu swe zapory. W swojej obronie próbuje wciągać do siebie kogo może i kogo się da. Jeśli nie może tego uczynić perswazją, próbuje postrachu. Próbuje narzucić swoją wolę i swój światopogląd nawet za pomocą gwałtu. Zdeprawowane jednostki jakich znajdziemy pełno w każdej warstwie, typy pół zidiociałe, złodzieje różnej maści, koniokrady, za marne obszarnicze grosze wiodą po wsiach „narodową" agitację antysemicką, by w momencie rozruchów bezkarnie się obłowić. Nie szkodzi dodać, że ten sam lump wiejski czeka na swój udział i we wszelkiej innej rewolcie. Kto widział i pamięta zaszczuwanie działaczy chłopskich niepodległościowych, odepchniętych od wszystkiego w Polsce, kto pamięta petycje, domagające się, aby okupacja niemiecka trwała w Polsce póty, póki się kraj nie uspokoi, dla tego nie może być dziwne i to, że anarchizując nawet dewocyjne tłumy, plecie sobie stara Polska szybciej bat na swoją skórę. Nowej Polski nie chce. Raczej żadnej, niż taką, chłopską.

Wykradziono nowej Polsce i przystosowano do swoich potrzeb mity i sentymenty prochłopskie. I oto kryjąc się za cudzym parawanem, próbuje się wszczepić w ludzi dobrej woli taką metodę, któraby nie pozwoliła im nigdy znaleźć drogi do chłopa. A wtedy wielu da sobie łatwo wytłumaczyć, że „chamami szkoda sobie głowy zawracać". Znamy już wielu takich zgorzkniałych załamańców w niepodległej Polsce, którzy wypowiadają takie zdania bez ogródek. Zdołano tych ludzi zniszczyć, wydrzeć z szeregów żywej Polski.

A oto właśnie chodziło. Dla tego celu podsuwa się inteligencji mit żywiołowego przywiązania do ziemi, we wszelkich warunkach, mit patriotycznego heroizmu głodnego człowieka.

Wszystko to już w historii Polski było, a wiadomo, jakie zrodziło rezultaty.

Wł. Kowalski.

Ponury dzień

Kainowa zbrodnia zabójstwa bywa zawsze groźnym i ponurym objawem, który przypomina o drzemiących w mroku natury ludzkiej instynktach skrępowanego lecz nieprzezwyciężonego bestialstwa.

A jednak to, że jakiś rzeźnik w Brześciu nad Bugiem zabił wywiadowcę policji w chwili, gdy tenże pełnił swe czynności służbowe, pozostałoby dla nas tylko zdarzeniem z kroniki kryminalnej, gdyby nie okoliczności, które zwykłą zbrodnię przeistoczyły we wstrząsającą tragedię całego kraju, w hańbę i żałobę dla dobrego imienia kultury polskiej.

Oto zabójca był Żydem. Ta odrębność wyznania, rasy czy narodu wystarczyła, aby pewna część ludności miasta, nie czekając na ujęcie przestępcy i zarządzenia władz sądowych, postanowiła wziąć odwet zbiorowy na jego współwyznawcach. Pierwotny, ślepy impet zemsty zatryumfował nad prawem, zdobytym wiekami cywilizacji, uświęconym duchem chrześcijaństwa.

Zawarowany ustawą wymiar sprawiedliwości ustąpił pola samosądowi. Ład publiczny zdeptany został przez gwałt i anarchię. Setki a może i tysiące osób, podzieliwszy się na bandy, wyzbyte z wszelkich powściągów moralnych, rzuciły się — w nagłym poczuciu bezkarności — na sklepy a także i na mieszkania żydowskie, plondrując je i niszcząc a miejscami również i potężnie grabiąc. „Jakiś dziadyga — pisze *Słowo*, niepodejrzane chyba o stronność na niekorzyść ludności katolickiej — przeklinał Żydów, że chwycił dwa buty przez pomyłkę na jedną nogę... Jakiś młodzieniec z wyniesionych ze sklepów części tuż, na ulicy, montował rower, burząc się, że mu brakło kierownicy... Wielu rzezimieszków nosiło w Zielone Święta srebrne papierośnice, których w środę jeszcze nie posiadało... Nieprawdą również wydaje się nam opowiadanie o bogobojnym jakoby darciu banknotów".

O rabunku mienia rozgromionych Żydów wyraźnie zresztą mówi odezwa zarządu miasta, potępiająca pogrom.

Lecz pocóż wchodzić w szczegóły tych okropnych a upokarzających scen, będących niewiarogodnym popisem rozbestwionej samowoli? Dokładny, rzecby można, z lubością wypieszczony ich obraz dała prasa endecka, zachłystując się od upojenia „chwały rycerskiej" przy każdym rozprutym sienniku, przy każdym połamanym meblu, wyrzuconym z izb lub sklepów żydowskich.

Jeśli w obrazie tym coś zasługuje na wyróżnienie, to chyba serdeczna wzajemność, z jaką reporterzy i redaktorzy gazet endeckich sprzymierzyli się z bohaterami pogromu. „Goniec Warszawski", który najusilniej podkreślał ideowość pogromców, polegającą jakoby na tym, że mienie „inowiercze" niszczono, lecz go nie rabowano, sam jednocześnie z nietajoną satysfakcją stwierdza, że „we wszystkich magazynach żydowskich demonstrujący niszczyli księgi handlowe oraz darli i wyrzucali na ulice pliki weksli, wystawionych na zobowiązania ratalne przez mieszkańców miasta"... W ten sposób — filuternie dodaje bogobojny dziennik endecki — Brześć „gruntownie oddłużono". Wzniosła demonstracja i szczytne oddłużenie! Klienci, którzy mieli Żydom spłacać ratami należność za pobrane towary, skorzystali z za-

wieruchy, aby podrzeć weksle i „umorzyć" swe zobowiązania. Czy każdy klient biegł wprost do swego wierzyciela, czy też drogi klientów się krzyżowały w ten sposób, że każdy darł weksle swych przyjaciół, licząc na równie przyjacielską usługę ze strony innych? Mniejsza o to: wynik był ten sam. Tranzakcja, jak na chwilę tak gorącą, była wykalkulowana wcale trzeźwo. I jeśli w tym wszystkim coś uderza, to nagłość pomysłu i rączość wykonania. Tylko, na miły Bóg, niech nam tu nikt nie mówi o bezinteresowności.

I również niechaj nikt nie mówi tu o chrystianiźmie. O chrystianiźmie tych w szczególności mieszczan brzeskich, którzy, aby osłonić się od napadu tłuszczy, a przede wszystkim odgrodzić się od zagrożonych niebezpieczeństwem Żydów, wystawili w oknach krzyże i obrazy świętych. Owi święci mieli mówić napastnikom: omińcie nasz sklepik, idźcie rabować sąsiada Godeł męki i nauki Chrystusowej użyć na to, aby zabezpieczyć swą małoduszność i swój prywatny kojec; furia niszczycielstwa i grabieży tym swobodniej mogła szerzyć się i wywierać swe okrucieństwo na innych: czyż może być postawa bardziej gnuśna i bezbożna? I czyż ci, którzy schowali się za swe obrazy święte, aby przeczekać rozruchy, sądzili, że Chrystus jest naprawdę z nimi, że błogosławi ich bezpieczeństwu, gdy tuż za ich progiem, na placach i ulicach, piętrzył się lament krzywdy ludzkiej, daremnie wołającej o ratunek? Nie! To nie są wyznawcy Chrystusa: są to chrześcijanie w cudzysłowie; „chrześcijanie", którzy z imienia bożego czynią drut kolczasty, mający okalać ich samolubstwo i nienawiść.

Powiadają niektórzy, że w Brześciu znaleźli się też i Żydzi, którzy, chcąc ujść przed napaścią, smarowali wapnem krzyże na oknach i drzwiach swoich mieszkań. Być może. Znaczyłoby to, że i oni zapragnęli, za przykładem „chrześcijan" zarekwirować imię Chrystusa na użytek swego bezpieczeństwa. W tej desperackiej rekwizycji nie byli z pewnością ani mniej ani bardziej małoduszni od fałszywych „chrześcijan". A czy jednak nie godniejsi usprawiedliwienia?

Smutek i zgroza tego, co się rozegrało w Brześciu nie ogranicza się, jak widzimy, do ruiny zniszczonego mienia żydowskiego. Dzień długotrwałego, bo aż 16 godzin trwającego niszczycielstwa, przyniósł straty o wiele cięższe, niż wartość zaprzepaszczonych towarów, rozdartych poduszek i pogruchotanych sprzętów. Ten czarny dzień ugodził w wartość istotniejszą, niż wyrób ręki ludzkiej. Ugodził on w moralną podstawę współżycia wyznań i narodów, zamieszkujących naszą Rzeczpospolitą; ośmielił warcholstwo i samowolę, poszargał świętość religii i legł ciężką skazą na obliczu publicznego ładu i bezpieczeństwa; wywrócił zasadę odpowiedzialności osobistej człowieka za winę popełnioną; poderwał zaufanie do majestatu prawa i niewzruszoności pokoju wewnętrznego; obniżył klasę stosunków, panujących w Polsce, w oczach jej zachodnich sprzymierzeńców i przyjaciół. Na całym bowiem świecie, gdziekolwiek dotrze wieść o wypadkach brzeskich, nie znajdzie się ani jeden człowiek rozumny, którywy nie stwierdził, że wypadki takie nie są drogą do rozwiązywania spraw narodowościowych lub wyznaniowych, i nie uznał ,że w duszy zarówno polskiej, jak żydowskiej budzą one jedynie instynkty najgorsze.

Pokój i bezpieczeństwo wewnętrzne, poszanowanie prawa i zaufanie do wymiaru sprawiedliwości: oto wartości, których lekceważyć nie wolno. Któż jest tak lekkomyślny, tak przewrotny lub tak głupi, aby utrzymywać, że wartości te są dobrem Żydów, nie zaś wspólnym dobrem wszystkich obywateli Rzeczypospolitej?

Oto przyczyna, dla której z tego właśnie stanowiska wspólnego dobra Polski wyrazić należy ubolewanie, że anarchia w dużym mieście niedalekim od stolicy rozigrać się mogła tak zuchwale i trwać tak długo.

Czy nie z pola i klimatu takiej właśnie anarchii rekrutują swe watahy panowie Doboszyńscy, aby zaprawiwszy się na inowiercach, wszczynać zbrojną rebelię przeciw Rzeczpospolitej?

Krzyk prawdy, której niewolno zagłuszać

Społeczna degradacja chłopa.

Większość książek o wsi polskiej to prace monograficzne o jednej wsi czy osadzie, dzieła dotyczące jednego z licznych zagadnień gospodarczych rolnictwa, lub też prace publicystyczne pisane pod kątem takiej czy innej tezy politycznej, reprezentowanej przez autora. Niestety, wieś polska, jako całość, nie jest podobna do opisywanych w monografiach, a zagadnienia gospodarcze z tej lub innej dziedziny gospodarstwa rolnego, — nie ujmują jeszcze całości zagadnień gospodarczych wsi.

Wieś — to zagadnienie o wiele szersze, niż przedstawiane w monografiach, przyczynkach — i publicystyce, — to całe społeczeństwo wiejskie — z podziałem na klasy, warstwy i grupy, o interesach społecznych, podobnych i zbieżnych, to cały kompleks zagadnień bardzo ważkich, których istnienia zakryć się nie udaje przez omawianie cienkiej warstwy zamożnych i „postępowych" gospodarzy i nazywanie ich całą wsią polską.

Prawd o wsi polskiej mieliśmy już wiele. Przede wszystkim w literaturze pięknej. Boryna — Reymonta i Ślimak — Prusa, to do niedawna cała wieś polska dla mieszczan, inteligenta, ekonomisty i społecznika w Polsce. W literaturze ekonomicznej o wsi zamożny Boryna i powolny Ślimak, mają do dziś swoje odbicie. Boryna — występuje tam, jako gospodarstwo rolne zasobne w ziemię i intensywnie prowadzone, z wysoką produkcją z jednostki i całości, z wysokimi sumami uzyskiwanymi ze sprzedaży swych płodów i przedstawiające dużą siłę nabywczą dla przemysłu.

Ślimak zaś, to mniejsze od Boryny gospodarstwo rolne nie prowadzące intensywnej gospodarki, stąd też przedstawiające mniejszą wartość ekonomiczną i niższą siłę nabywczą dla przemysłu. Wszystkie prawie dotychczasowe badania nad wsią polską szły w kierunku wykazania, jakie drogi ma przed sobą gospodarstwo Boryny i co winny robić

gospodarstwa typu Ślimaka, by podnieść swój poziom i tym samym zwiększyć swoją siłę nabywczą, tak konieczną dla przemysłu w Polsce.

Literatura ekonomiczna o wsi nie spostrzegła „drobnej" rzeczy, że gospodarstwa typu Boryny stanowią zaledwie nikły odsetek wśród morza ludności chłopskiej w Polsce, zaś gospodarstwa typu Ślimaka, stanowiące kilka procent ogólnej liczby, kruszą się i rozpadają na coraz mniejsze. To „przeoczenie" większości milionowych mas chłopskich przez literaturę ekonomiczną i inną, jest typowym przeoczeniem u ekonomistów, którzy nie widzą człowieka, lecz tylko jego warsztat produkcyjny. Brak tego warsztatu, lub jego nikłe rozmiary, wystarczają aby przeoczyć... człowieka. Przeoczenie to trwałoby może i nadal, gdyby nie pomruki zapomnianych milionów i oznaki, kładące kres pojęciom o sielance wsi polskiej.

***

Książka **„Struktura społeczna wsi polskiej"** wydana przez Instytut Gospodarstwa Społecznego, — to właśnie współczesna prawda o wsi polskiej.

I dziwić się należy jedynie, dlaczego dopiero po 18 latach niepodległego bytu, roztrząsa się i bada przy pomocy ankiet i opracowań to, co w innych krajach zostało już w większym lub mniejszym stopniu — rozwiązane.

Doszło do tego, że, aby się dowiedzieć, co czuje i jak myśli chłop polski, jakim ulega przeobrażeniom — trzeba szukać dzieł w obcych językach. Pięciotomowe dzieło o chłopie polskim, napisane przez amerykańskiego socjologa W. Thomasa i prof. uniwersytetu poznańskiego Floriana Znanieckiego wyszło przed z górą 10 laty w języku angielskim i, mimo drugiego wydania w tym języku, nie jest dotychczas przetłumaczone na język polski, ba, nawet nie doczekało się obszerniejszego streszczenia. U nas natomiast poza „Pamiętnikami Chłopów" i pracą J. Michałowskiego p. t. „Wieś nie ma pracy" — dzieł, traktujących o ludności chłopskiej w Polsce, nie mamy wiele.

„Struktura społeczna wsi polskiej" — ratuje sytuację, choć książka ta winna była się ukazać, co najmniej w pierwszych latach niepodległości. Przedmowa nestora socjologów polskich prof. L. Krzywickiego zawiera nie tylko omówienie zagadnień, poruszonych w książce, lecz także i wołanie o poprawę struktury społecznej wsi przez szeroko zakrojoną reformę agrarną.

Na całość książki składają się prace: 1) E. Strzeleckiego — Ankieta rolna Instytutu Gospodarstwa Społecznego, 2) K. Czerniewskiego — Zagadnienie struktury agrarnej, 3) R. Jabłonowskiego — Ludność bezrolna, 4) K. Bątlewskiej — Wiejscy procederzyści, renciści oraz pracownicy umysłowi i fizyczni o stałych uposażeniach, oraz 5) dodatek p. t. „Możliwości akcji parcelacyjnej".

Prace powyższe napisane były na podstawie ankiety przeprowadzonej przez Instytut Gospodarstwa Społecznego w 53 typowych wsiach we wszystkich województwach Polski, obejmującej 5041 gospodarstw do 50 ha, 5714 rodzin z 26.814 osobami. Samą ankietę i sposób jej przeprowadzenia, wraz ze wzorami kwestionariuszy, druków i t. p. — omawia E. Strzelecki, wprowadzając czytelnika w żmudną pracę ankietową i osiągając zaufanie do zebranych w tej drodze danych cyfrowych.

K. Czerniewski — w pracy „Zagadnienie struktury agrarnej" podaje krytycznej analizie strukturę agrarną we wsiach objętych ankietą. Nowością w polskiej literaturze ekonomicznej jest zastosowanie kryterium, czy posiadacz gospodarstwa rolnego utrzymuje się z niego całkowicie, czy też częściowo. Żałować należy, że powyższe kryterium zostało zastosowane jedynie do gospodarstw do 2 ha obszaru. Rozszerzenie tego kryterium na gospodarstwa do 5 ha obszaru pozwoliłoby stwierdzić zakres proletaryzacji gospodarstw wiejskich, niesłusznie uważanych powszechnie jako jednostki samodzielne. Mimo to wyniki uzyskane przez K. Czerniewskiego świadczą, że chłop pojmowany jako „gospodarz" w dużej części nim nie jest, mimo, iż nawet sam siebie do „gospodarzy" zalicza. Jakże można bowiem nazwać „gospodarzem" właściciela działki gruntu o obszarze od ⅛—½ ha? A jednak 15% właścicieli takich działek utrzymuje się wraz z rodzinami wyłącznie z nich, zaś 43,6% — w przeważającej części! Z działek gruntów od ½—1 ha utrzymuje się wyłącznie 31,1% ich właścicieli, zaś 32,2% w przeważającej części. Z działek od 1—2 ha obszaru utrzymuje się wyłącznie już 56,2%, zaś w przeważającej części — 18,4% ich właścicieli.

Gospodarstwa karłowate do 2 ha obszaru stanowią 25,8%, wszystkich gospodarstw, nie wliczając w to właścicieli działek mniejszych niż ⅛ ha. Stanowią one około 900.000 „gospodarstw" i obejmują około 4.500.000 ludności wiejskiej. Doliczając ludność bezrolną, która stanowi prawie 30% ludności wiejskiej, t. j. około 7 milionów osób, — otrzymujemy razem z górą 11 i pół miliona ludności — stanowiącej nie żadnych gospodarzy, lecz pauprów wiejskich. Prawie połowa zatem ludności wiejskiej to nędzarze, którzy giną w oficjalnych statystykach w rubrykach „właścicieli gospodarstw" i „rolników", pojawiając się jako imponująca cyfra żywicieli narodu — chłopów. Połowa tych „żywicieli" sama przymiera głodem. Ale i wśród tych nędzarzy współczesnych są jeszcze szczęśliwsi i mniej szczęśliwi w zależności od obszaru gruntu, jaki przypada wśród nich na głowę. Wśród właścicieli działek od ⅛—½ ha przypada na głowę zaledwie 0.08 ha, a wśród właścicieli działek od ½—2 ha już 0,25 ha na głowę. Trzykrotnie szczęśliwsze jest dziecko nędzarza z ostatniej grupy, od dziecka nędzarza z grupy pierwszej.

Jak wielka jest ta różnica wśród ludności samodzielnej widać z tego, że w gospodarstwach od 10—20 ha przypada na głowę 1,10 ha, zaś w gospodarstwach od 20—50 ha 2,82 ha.

Słusznie też autor omawiając obszar gruntu, jaki przypada na głowę ludności w gospodarstwach karłowatych, — nazywa miernik ten miernikiem głodu chleba. Lecz co ważniejsze — oto ten miernik głodu chleba wciąż się powiększa przez nowe podziały gospodarstw pomiędzy dzieci.

Porównując wszystkie gospodarstwa rolne we wsiach objętych ankietą z r. 1921 — autor stwierdza, że tylko 43,1% gospodarstw przetrwało do 1934 roku bez uszczerbku ze swego obszaru, 18,8% stanowią gospodarstwa nowopowstałe, około zaś w 40% gospodarstw „powierzchnia uległa zmianom... w kierunku zmniejszenia" (str. 123). Nowopowstałe gospodarstwa pochodzą w 72,2% z działów, w 13,7% z kupna, w 6,3% z parcelacji, w 6,1%

z dzierżawy, w 1% z darowizny i w 0,7% z innego tytułu. Cała akcja parcelacyjna w okresie 14 lat niepodległości dała zaledwie 6,3% nowych gospodarstw, natomiast działy rodzinne 72,2%.

Zacytowane przez autora zdanie prof. Krzywickiego z pracy „Kwestia rolna", — że rozwojem drobnej gospodarki rolnej rządzi zasada podziału poniżej granicy samowystarczalności, — jest potwierdzeniem tej wnikliwej tezy, wygłoszonej prawie przed pół wiekiem.

Autor widzi zło nie tylko w małych obszarach gospodarstw chłopskich, ale również i w szachownicy pól. Głosy jednak samych chłopów, odpowiadających na ankietę, — są z wyraźną rezerwą wobec komasacji, jeśli nie idzie ona w parze z upełnorolnieniem. Do tego stanowiska przychyla się i autor. Sprawa komasacji w Polsce w ogóle traktowana jest fałszywie z punktu widzenia produkcji rolnej, — co również udzieliło się autorowi, — zamiast być rozpatrywaną ze stanowiska społecznego Jednak i z ekonomicznego stanowiska komasacja nie rozwiązuje złej struktury agrarnej wsi, nie poprawia położenia chłopstwa, raczej pogarsza, zwłaszcza właścicieli gospodarstw mniejszych. Nie zażegnuje również klęski rozdrobnienia i jak stwierdza p. Maria Dąbrowska w „Marchołcie" z kwietnia 1937 r. — we wsiach skomasowanych przed 6 laty nastąpiły już podziały wielu gospodarstw i sami chłopi mówią, że za lat 50 i śladów dokonanej komasacji nie będzie... Działy rodzinne są więc głównym źródłem nowych gospodarstw, niestety o coraz mniejszych rozmiarach. Przeciętny obszar nowopowstałego gospodarstwa wynosi 3 ha, lecz z ogólnej ich liczby gospodarstwa o obszarze do 2 ha stanowią 43,8%!

Postęp pauperyzacji mas chłopskich jest odwrotną stroną ilościowego wzrostu drobnych gospodarstw, uznawanych przez wielu ekonomistów — z punktu widzenia produkcji — za wyższą formę produkcji w rolnictwie.

Roczny spółczynnik przyrostu gospodarstw wiejskich w Polsce autor oblicza na 1,5%. Jest to jak wynika z wyżej podanych cyfr spółczynnik przyrostu nędzy w postaci wzrostu „samodzielnych wytwórców", których wzrostem p. Piasecki z „Prosto z mostu" zachwyca się, jako objawem zaniku proletaryzacji i wzrostu liczby właścicieli.

Odmiennie zapatrują się na powyższy proces sami zainteresowani chłopi, — tłumacząc pogorszenie swego położenia brakiem możności emigracji za granicę, do miast i brakiem ubocznego zarobku, a więc niemożnością proletaryzacji, która dla spauperyzowanych mas chłopskich jest awansem społecznym. Wzrost liczby gospodarstw o coraz mniejszym obszarze jest oznaką degradacji ekonomicznej i społecznej ich właścicieli, choć nie jest jeszcze ostatnim etapem społecznym „równania w dół" ludności wiejskiej. Poza właścicielami bowiem gospodarstw małorolnych czy karłowatych, istnieje potężna armia na wsi ludności bezrolnej, powstałej z dawnych samodzielnych gospodarzy i ich rodzin.

W tej grupie — bezrolnej ludności wiejskiej — omawianej w pracy Romana Jabłonowskiego p. t. „Ludność bezrolna" stwierdzamy podobne objawy osuwania się na najniższy szczebel społeczny — wyrobnika wiejskiego.

Struktura społeczna ludności wiejskiej w Polsce ujmowana jest na ogół bardzo powierzchownie. Pod pojęciem ludności wiejskiej, jako klasy chłopskiej, ukrywani są posiadacze gospodarstw o obszarach tak różnych, jak do 2 ha, i od 20—50 ha, a także, zwłaszcza w publicystyce i ludność bezrolna. Najczęściej czynione to jest dla wykazania siły i znaczenia ludności wiejskiej w Polsce.

R. Jabłonowski wyprowadza czytelnika z mitu monolitowej klasy chłopskiej, wprowadzając w świat rzeczywistości, z którego wynika, że z ogółu ludności wiejskiej jedynie 67,7% stanowią, według spisu z 1931 roku, samodzielni posiadacze gospodarstw, pozostałą zaś część stanowi ludność bezrolna, którą z kolei autor dzieli na ludność nierolniczą, liczącą 19,9% i ludność najemną w rolnictwie, wynoszącą 12,4% ogółu ludności wiejskiej w Polsce. Tego rodzaju ujęcie struktury społecznej ludności bezrolnej pozwoliło autorowi na uzyskanie danych o przeobrażeniach, zachodzących wśród tej, pomijanej dotychczas w badaniach — warstwy ludności wiejskiej.

Pierwszą zdobyczą autora jest stwierdzenie (przy porównywaniu wyników spisów powszechnych z r. 1921 i 1931, że na wsi polskiej wzrosła liczba ludności nierolniczej, a zmniejszyła się natomiast liczba ludności najemnej w rolnictwie.

Wyniki powyższe osiągnięte przez autora znajdują potwierdzenie i u ekonomistów obcych. To samo bowiem stwierdził w 1933 roku na wsi w Saksonii prof. dr. Wolfgang Wilmans w pracy swej p. t. „Die Lage der Landwirschaft im Freistaat Sachsen", a badania Czechosłowackiej Akademii Rolniczej co do wsi czeskiej wymieniają, że od 1930—1935 roku na 100 ha obszaru rolnego liczba ludności najemnej w rolnictwie spadła, natomiast liczba ludności wiejskiej samodzielnej wzrosła z 27 na 34 osób.

Świadczy to, iż objawy zaobserwowane przez autora na wsi polskiej zachodzą i w innych krajach, że kryzys wsi polskiej jest nie tylko wynikiem wadliwej struktury agrarnej, ale objawem choroby, która toczy organizm współczesnego kapitalizmu, niezależnie od stopnia techniki i kultury rolnej na wsi.

Wzrost ludności nierolniczej w warstwie bezrolnej ludności wiejskiej budzi pytanie co do jej składu socjalnego. Autor wykazuje, że 55% ludności tej grupy stanowią wyrobnicy wiejscy, 19,8% „przedsiębiorcy" (kowale, sklepikarze i inni), 5,8% pracownicy fizyczni na stałych posadach, 4,1% pracownicy umysłowi, 11,6% dożywotnicy, emeryci, renciści i t. p. oraz 3,2 inne zawody. Wyrobnicy zatem stanowią większość ludności nierolniczej. Jest to grupa wolnych najmitów, bandosów, żyjąca w najrozpaczliwszych warunkach bytu — kulisi polskiej wsi. Ta grupa ludności wiejskiej wzrasta liczebnie. Do niej w wyniku przeobrażeń ekonomicznych i społecznych spada w pierwszym rzędzie syn, czy córka „samodzielnego" gospodarza, właściciela małorolnego i karłowatego gospodarstwa. A dzieci wyrobników — nie mając przed sobą możliwości awansu, ani też niższego już — poza żebractwem — szczebla społecznego, — pozostają wyrobnikami „z dziada i pradziada".

Cyfry podane przez autora potwierdzają to całkowicie. Rodziny obecnych wyrobników pochodzą bowiem w 45,3% z rodzin, które poprzednio były również wyrobnikami, a w 54,7% z rodzin, które po-

siadały gospodarstwo, lub należały do rodziny gospodarskiej. Największego zastępu wyrobników z rodzin gospodarskich dostarczają gospodarstwa do 5 ha obszaru, t. j. gospodarstwa karłowate i małorolne, które łącznie dają 56,7% ogółu wyrobników pochodzących z rodzin gospodarskich. Na poziom wyrobników wiejskich spadają też w przeważnej części pracownicy fizyczni na wsi na stałych posadach i „przedsiębiorcy" wiejscy, — słowem większość ludności nierolniczej żyjącej na wsi.

Z tablic i omówień pracy K. Czerniewskiego wyłania się objektywny zanik drogi awansu społecznego dla ludności wiejskiej, karłowacenie gospodarstw oraz degradacja ekonomiczna i społeczna tej ludności do poziomu warstwy nierolniczej. W pracy R. Jabłonowskiego — widzimy dalszy postęp tej degradacji wśród ludności wiejskiej nierolniczej, jako skutek zaniku możliwości proletaryzacji, która dotychczas stanowiła awans społeczny dla chłopa.

Taka jest prawda o dzisiejszej wsi polskiej.

Tadeusz Lecki.

Z dnia na dzień

RYZYKOWNA KALKULACJA

Dawniejsze żywioły antyendeckie, dziś hasła endeckie głoszące, nadużywają imienia Józefa Piłsudskiego w sposób coraz bardziej cyniczny.

Pisaliśmy w n-rze 4 (83) *Epoki* z dn. 20 lutego b. r.:

„Od endecji Piłsudskiego odpychało i odpychać musiało wszystko, co było w nim pierwiastkiem działania. Między nim a „stronnictwem chłopskiej krzywdy i narodowej hańby" (słowa Brzozowskiego) legła nietylko krew Narutowicza, nietylko ofiara bojowców i żołnierzy, prowadzonych przezeń na walkę o niepodległość; nietylko własne jego lata Sibiru i Cytadeli, ale całe jego życie tak sprzeczne z zasadą życia endecką, jak wyprawa na Bezdany sprzeczna jest z wyprawą na stragany żydowskie".

I dalej:

„Ze zgonem Marszałka Piłsudskiego pękła najpotężniejsza tama przeciw ugodzie z endecją... W świadomości wielu sanatorów toruje sobie drogę praktyczna kalkulacja, że potężną siłę atrakcyjną, jaką na masy wywierał Marszałek Piłsudski, jeśli się da zastąpić czymkolwiek, to chyba atrakcją antysemityzmu, wypróbowaną przez uczniów Romana Dmowskiego".

Ta kalkulacja zalecana jest dziś gorąco przez wielu z tych, którzy w dalszym ciągu nazywają się „piłsudczykami".. Chcą zabrać endecji jej hasła i dodać sobie siły, a nie widzą, że w ten sposób umacniają tylko endeków.

Niełatwy to polityczny manewr: ogołocić kogoś z haseł i samemu zostać na placu. Endecja nie jest tak znów głupia, żeby dać sobie zabrać cały polityczny bagaż, a samej odejść pokornie z torbami.

„WIĘC KIM BYŁ PIŁSUDSKI?"

P. Cat-Mackiewicz, redaktor wileńskiego *„Słowa"* w rozpędzie polemicznym doszedł już do takiej konkluzji:

„...więc kim był Piłsudski od młodu? Narodowcem, nacjonalistą? Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że tak".

Tym razem zgadzamy się z „Warszawskim Dziennikiem Narodowym", że „ewolucja poglądów p. Mackiewicza odbyła się w tempie niebywałym". Dodajmy: i mało przytomnym. Maluczko, a — jak to przewiduje „Warsz. Dz. Nar." — p. Mackiewicz zrobi z Marszałka Piłsudskiego „autentycznego endeka".

W dzisiejszej politycznej maskaradzie widać niejedno już „posunięcie" w tym kierunku.

ANTYKATOLICYZM „KURJERA PORANNEGO".

Niektórzy z dawnych współpracowników *„Kurjera Porannego"* z zadziwiającą szybkością i łatwością przystosowali się do zmiany kierunku pisma.

Pani M. J. Wielopolska tak już sobie pisze o Hitlerze:

„Odgradza nas od tej postaci — bezsprzecznie jednej z najciekawszych w historii, zwał wrogiej prasy i literatury katolickiej, komunistycznej i żydowskiej — nieprzebyty mur kłamstw i potwarzy i dlatego nie zajmujemy się Hitlerem i nic prawie o nim nie wiemy".

Jednym tchem: „zwał wrogiej prasy i literatury katolickiej, komunistycznej i żydowskiej"...

Notujemy wiadomość, że *„Kurjer Poranny"* nie zalicza się do prasy katolickiej, którą — zgodnie ze stanowiskiem hitleryzmu stawia narówni z prasą komunistyczną i żydowską.

NIESTRUDZONY SIEWCA WIEDZY.

Nakładem Kasy imienia Mianowskiego ukazało się nowe dzieło prof. Ludwika Krzywickiego p. t. „Społeczeństwo pierwotne", dzieło, które uświetni zbliżającą się pięćdziesiątą piątą rocznicę Jego pracy naukowej, społecznej i publicystycznej.

W oczach demokracji polskiej Ludwik Krzywicki to nie tylko światowej sławy uczony. To również sztandarowy mąż lewicy polskiej, uczestnik wielkich ruchów i przemian dziejowych ostatniego półwiecza.

Ludwik Krzywicki pozostał wierny swym ideałom młodości, nie zboczywszy z drogi w żadnych warunkach i w różnych epokach, przez które płynęło i płynie Jego pracowite życie. Swoją działalność naukową i publicystyczną rozpoczynał w tym czasie, kiedy polscy twórcy i badacze naukowi przeważnie trwać musieli w samotności na swoich posterunkach, pozbawieni środków materialnych, pomocy naukowych, katedr uniwersyteckich, muzeów, bibliotek, — słowem wszelkich warunków normalnej pracy naukowej. To też bardzo nieliczni zdołali, jak Krzywicki, przebyć wszystkie zapory i spełnić chlubnie swoje posłannictwo.

Ludwik Krzywicki w latach uniwersyteckich wstąpił do szeregów młodzieży socjalistycznej. Studiując na wydziale medycznym, już po ukończeniu matematyki, za zsolidaryzowanie się z odruchem studenta Zubowicza, który czynnie znieważył osławionego rusyfikatora Apuchtina, Krzywicki został relegowany z uniwersytetu i zmuszony wyjechać zagranicę. Po powrocie ze studiów uniwersyteckich w Paryżu, Lipsku i Zurychu, był przez władze rosyjskie internowany w Płocku na przeciąg dwóch lat, gdzie nb. nie tracąc czasu założył i prowadził pismo robotnicze wraz z Narutowiczem, bratem zamordowanego Prezydenta. Zagrożony osadzeniem w cytadeli, wyjeżdża ponownie zagranicę, naprzód do Ameryki Północnej. Owocem tej podróży była książka p. t. „Za Atlantykiem", niezmiernie cenna dla polityków i ekonomistów. Badając stosunki agrarne, napisał wkrótce potem dzieło p. t. „Kwestja rolna", tłumaczone na obce języki.

Po powrocie do kraju płaci wkrótce wolnością za krzewienie oświaty i czytelnictwa, a po wyjściu z cytadeli poświęca się rozległej pracy naukowej, publicystycznej i wykładowej. Jako socjalista organizował robotników, pisał i wygłaszał dla nich odczyty, w tajnym zaś uniwersytecie, do którego tłumnie garnęła się młodzież akademicka. Ludwik Krzywicki przez szesnaście lat (1887 — 1903)

odsłaniał nowe widnokręgi, wykładając o dziejach człowieka i dziejach kultury ludzkiej, burząc mnóstwo przesądów.

Niesposób w tej krótkiej notatce okolicznościowej zobrazować dotychczasowy trud życia Ludwika Krzywickiego, ani nawet wymienić chociażby z tytułu wszystkich Jego prac naukowych. Z okazji ukazania się dzieła p. t. „Społeczeństwo pierwotne", które omówimy niebawem — godzi się tylko przypomnieć, że dawniej już, badając zjawiska społeczne, wydał prof. Krzywicki prace p. t.: „Historia rodziny", „Historia własności", „Ustroje społeczno - gospodarcze w okresie dzikości i barbarzyństwa".

SENS WSZECHŚWIATA ODKRYTY...

Stojący na czele walki z katolicyzmem i propagandy neopogańskiej, gen. Ludendorff, w dwutygodniku „ U świętego źródła niemieckiej siły", pisze o swej żonie, której dziełem jest cała „filozofia" niemieckiego neopogaństwa:

„Nareszcie, po raz pierwszy odkąd istnieje ziemia i rodzaj ludzki udzieliła filozofka Matylda Ludendorff niemożliwych do zakwestionowania odpowiedzi na temat *sensu wszechświata, życia ludzkiego, śmierci*, oraz sensu ras i narodów. Stworzyła w ten sposób podstawę dla ukształtowania życia poszczególnych Niemców i dla niemieckiej twórczości ludowej, stanowiącej oparcie dla niemieckiej politycznej woli życia, podczas gdy nauka Chrystusa wykoleja narody i aż za bardzo lekceważy ich prawa życiowe. Jest to wielkie, wstrząsające światem wydarzenie".

Dwa epizody

Na tle stosunków istniejących w państwach monopartyjnych zarysowują się i uwydatniają charaktery ludzkie.

Świeżo mamy do zanotowania dwa wielce charakterystyczne wydarzenia na bujnej glebie kulturalnej Italii. Osobami działającymi są w tych epizodach dwie jednostki wybitne ze świata literatury włoskiej — Benedetto Croce i Gabriel D'Annunzio.

O twórcy „Il Fuoco" i zdobywcy Fiume, ekscentrycznym poecie, spędzającym ostatnie lata swego żywota na brzegach malowniczego jeziora Garda we wspaniałej willi Vittoriale, nie trzeba przypominać szerszemu ogółowi czytelników. Jego sylwetka duchowa jest naogół dobrze znana i wszyscy ją mają w pamięci zarówno z dawniejszych czasów, jak i z lat powojennych, kiedy obecny książę, zdobywca Fiume, zaangażował się czynnie po stronie polityki faszystowskiej, jednakże pomimo największych czynionych mu honorów wciąż nie może nasycić trawiącej go ambicji, żądzy sławy, a czasem poprostu reklamy.

Jak gdyby przeciwstawieniem jego w tym zakresie jest bohater innego epizodu, Benedetto Croce, sędziwy filozof i historyk literatury, profesor uniwersytetu w Neapolu, przed wojną senator, po wojnie w 1920 r. minister oświaty, autor dzieł „Estetica", „Logica", „La Poesia di Dante", wieloletni redaktor czasopisma „La Critica".

Za czasów faszyzmu, podczas gdy na D'Annunzia spływały łaski i nagrody zawsze zresztą przezeń uznawane za niedostateczne, Benedetto Croce znalazł się w liczbie najwyżej... tolerowanych, a w każdym razie odsuniętych od wszelkich godności i zaszczytów.

Otóż do tego sędziwego mędrca, filozofa, estety, żyjącego w odosobnieniu, zachowującego pomimo wszystko własny sąd o rzeczach, sprawach i ludziach, zwróciło się niedawno czasopismo amerykańskie „New Republic" z ankietą, którą rozesłano i do wielu innych osób. Ankieta zawierała dwa pytania, jak na nasze czasy i jak na sytuację Benedetto Croce'go niesłychanie i doniosłe i drażliwe — jednocześnie. Czasopismo amerykańskie, ni mniej ni więcej pytało tych do których zwracało się, o to, co sądzą o przyszłości demokracji, a następnie jaki ustrój uważają za bardziej wartościowy — liberalny, czy autokratyczny.

Benedetto Croce, mieszkający we Włoszech stale i nie zamierzający emigrować, odpowiedział na oba pytania i teksty swoich odpowiedzi pozwolił wydrukować.

Pierwsze pytanie nazywa Benedetto Croce w swojej odpowiedzi, należącym jak gdyby do dziedziny meteorologii. Pytać się o przyszłość demokracji, to tak samo, jak pytać się o to, czy będzie deszcz i czy należy wziąć parasol. Różnica polega tylko na tym, że nie sposób sprzeciwiać się deszczowi lub pięknej pogodzie, bo one od nas nie zależą, natomiast przyszłość demokracji leży w nas samych.

Trafność tej odpowiedzi udzielonej w niezwykłych i nie sprzyjających udzielaniu jakiejkolwiek odpowiedzi warunkach, świadczy o sile przekonań filozofa włoskiego.

A jeszcze bardziej zadziwiają nas te same cechy w odpowiedzi na drugie pytanie, być może stokroć bardziej kłopotliwe, niż pierwsze. „New Republic" pyta, jaki ustrój jest lepszy: liberalny, czy totalny. Benedetto Croce odpowiada: Postawienie tego pytania przypomina mi zapytanie, zadane przez człowieka, któremu wymierzono policzek i który poszedł do przyjaciela poradzić się, co czynić? Oczywistem jest, że ten, kto prosi o radę na temat swojej własnej godności, już z tej godności zrezygnował.

Tyle odpowiedział Croce i, jak słusznie zauważa radykalne czasopismo francuskie „Le Vendredi" dał dowód niezbity i jaskrawy, że totalizm, czy też monopartyjność nie wszystkie umysły i serca zniszczyły, że żywie duch wówczas, gdy zdawało by się, że pięść jest ponad wszystkim i że jedyne co jej się w najlepszym razie przeciwstawić może, to milczenie. Przychodzi na myśl słynny aforyzm Tacyta „ubi solitudinem faciunt, pacem apellant" (gdzie uczynią pustkowie, tam sądzą, że jest spokój całkowity). Ponad tym jednak „pustkowiem" unosi się odważna myśl i słowo, dając świadectwo prawdzie wbrew wszystkiemu...

Oto epizod szlachetny. A teraz — epizod groteskowy, wykwitający także na stosunkach monopartyjności ustrojowej.

Na przeciw willi D'Annunzia nad jeziorem sąsiad pomalował swoją wille na różowo. Poeta wziął taki rodzaj farby za obraźliwy dla siebie. Nie wiadomo

Są pisarze i politycy, którzy, zaprzedając swą duszę, robią znakomity interes: otrzymują pieniądze za gnój.

dlaczego, czy cierpi na idjosynkrazję do odcienia farby, którym sąsiedzką willę pomalowano, czy też dojrzał w tym odblask znienawidzonego czerwonego koloru. Dość, że w kraju, gdzie Croce liczyć się musi z każdym słowem, D'Annunzio zażądał od swego nieszczęsnego sąsiada, aby w 24 godziny przemalował willę na inny kolor. Sąsiad nie chciał ustąpić i śmiał się z żądań utytułowanego poety i działacza. Wówczas D'Annunzio ustawił na znajdującym się w jego ogrodzie wraku okrętu jakieś stare działo, wydobyte z lamusa pamiątek po wojnie i zagroził strzelaniem. Wtrąciły się wówczas władze administracyjne i... skłoniły sąsiada poety do przemalowania willi na koszt... skarbu. D'Annunzio uspokoił się, a sąsiad jego uwolniony od wydatku z własnej kieszeni musi mieszkać w willi tak pomalowanej jak sobie jego wpływowy sąsiad życzy.

Oto zestawienie dwóch epizodów, dwóch ludzi, którzy myślą, żyją i działają w państwie totalnym. Z jednej strony wielkość i siła ducha, z drugiej samowola oparta na deprawacji.

St. Grostern.

Tworzymy nowy, lepszy świat

Rozmowa Pracy z Kapitałem

Nakładem Związku Spółdzielni Spożywców R. P. ukazała się broszura Stanisława Thugutta, będąca mistrzowskim ujęciem kontrastu, jaki na tle chwili obecnej zachodzi w formach szczególniej ostrych między dążeniami świata pracy a uroszczeniami świata kapitału. Praca to — nieprzebrane żywe źródło powstawania coraz nowych wartości, służących życiu i postępowi człowieka. Kapitał to — także praca, ale praca martwa, praca nagromadzona w cudzych rękach i obrócona na wyzysk i ujarzmienie pracowników. Można powiedzieć również, że praca — to współdziałanie; kapitał — to współzawodnictwo. Te dwie, związane ze sobą, lecz odrębne siły, przedstawiające dwie przeciwne klasy społeczne, Thugutt wciela w dwie symboliczne postaci Pawła i Antoniego. Obaj szermierze wiodą między sobą spór zacięty i nieubłagany; jeden z owych sporów dziejowych, które zaczynają się w książkach a kończą w życiu. Poniżej dajemy końcowy przebieg ich burzliwej dysputy; zwięzłe arcydzieło polemiki i lapidarności.

EPOKA

ANTONI: ...chcielibyście pomału wszystko w swoje ręce zagarnąć?

PAWEŁ: Niczego nie chcemy zagarniać, ani niczego odbierać. Tworzymy tylko obok starego swój nowy, lepszy świat. Świat, na którym nie byłoby innej krzywdy, niż ta jaką czyni sama natura, rodząc kaleki albo idiotów.

A.: To się wam nigdy nie uda, wy myślicie naprawdę, że ci, co stworzyli całą cywilizację i faktycznie trzymają dziś rządy w rękach, ustąpią wam dobrowolnie?

P.: Nie, takich dziecinnych złudzeń nie mamy. Wiemy przecież z doświadczenia, że walczą z nami wszelkimi dozwolonymi i niedozwolonymi sposobami — kłamstwem, oszczerstwem; nastawiają przeciwko nam prasę i pseudo-uczonych. Tam, gdzie im się uda zyskać wpływ polityczny, niszczą nas. Ale mimo wszystko rośniemy. A jaki będzie ostateczny wynik tej walki — pocóż mamy sobie dziś o to łamać głowę?

A: A o cywilizację też was głowa nie boli? Tę troskę zostawiacie tym, którzy zawsze opiekowali się wynalazkami, sztukami, nauką, i których chcecie usunąć.

P: Drogi panie Antoni! Ależ to nawet nie zdrowo żywić się takimi bajkami. Wie pan chyba, że wszyscy ci wynalazcy, artyści, uczeni, czasem nawet świetni organizatorzy życia gospodarczego umierali często na barłogach, rolą zaś bogaczy było tylko finansowanie ich pracy, z czego zresztą zwykle ciągnęli dobre zyski. Sami oni jako twórcy byli raczej dosyć bezpłodni. To się da zresztą łatwo wyjaśnić.

A: Czymże to mi Pan tę mało wiarogodną rzecz wyjaśni?

P: A tym, że w pańskim porządku świata, skoro w nim głównym celem ma być bogactwo i potęga, jaką ono daje, wyłączną w końcu sprężyną działań ludzkich staje się chciwość. Nie zaprzeczam, że prowadziła ona czasem do wielkich rzeczy: odkrywała nowe lądy, czyniła ziemię bardziej urodzajną, dawała nowe wygody. Nie będę już nawet przypominał, że te wszystkie zdobycze służyły tylko drobnej garści wybranych. Zapytam jedynie znowu: co to wszystko kosztuje? Według mojego poglądu — cena jest straszliwa. Chciwość, jak każda inna namiętność, obraca w końcu dusze ludzkie w popiół, pustoszy serca i mózgi, odsuwa wszystkie prawdziwie ludzkie zainteresowania poza bezpłodny w gruncie rzeczy krąg szarpaniny o zysk.

A: Gdyby nawet tak było, jakże Pan chciałby to inaczej urządzić? Przeciętny człowiek jest z natury leniwy. Jakże go Pan zmusi do pracy, jeżeli mu Pan odbierze podnietę bezpośredniej korzyści osobistej? Przecież to go popędza więcej, niż bat.

P: Tak — w dzisiejszym ustroju, którego celem jest gromadzenie bogactw... A przecież i dziś istnieje mnóstwo zawodów, w których pracownik nie ma szans zdobycia majątku, a jednak wkłada w swoją pracę całą duszę; niekiedy ugina się wprost pod ciężarem wysiłku. Jakież szanse zbogacenia się mają pracownicy dróg żelaznych lub poczty? Czy prawdziwy uczony lub artysta pracuje dla zdobycia bogactwa? Nie mówimy już o siostrach miłosierdzia. Co ich wszystkich pcha naprzód? Miłość pracy lub poczucie obowiązku.

A: A przecież to treścią naszego systemu jest praca.

P: Nie, treścią waszego systemu jest zysk. Nie wzdragali się osiągać go bez pracy.

A: Ludzie mojego systemu rządzą światem.

P: I tu się pan myli. Powiem Panu coś, w co Pan oczywiście nie uwierzy. Ale niech Pan o tym wolną chwilą pomyśli. Otóż światem rządzą istotnie ci, co siedzą na workach ze złotem. Ale także i ci, co drwią sobie ze złota, co przezwyciężyli w sobie chciwość. Co prawda, ich królestwo przychodzi często dopiero po śmierci.

A: A wy tę chciwość wygnacie?

P: Mam nadzieję, a przynajmniej zagrodzimy jej drogę do wyrządzania szkód. Jeśli będzie istniało, to poza naszym systemem i poza naszym życiem.

A: Cóż to będzie za życie — bez blasku i bez chwały?

P: Pocóż ten niepokój przedwczesny? Jeżeli chodzi o blask, myśli Pan pewnie o wspaniałych gmachach, o pięknych uroczystościach, o bogatych muzeach. Będzie ich więcej, niż dzisiaj. Jeżeli chodzi o sztukę, pogłębi się ona od dnia, w którym artysta stanie się wolny i niezależny od prostackich nieraz wymagań swoich pożal się Boże, mecenasów. Co zaś do chwały, nie bardzo wiem, co Pan przez to słowo rozumie? Może bohaterstwo? I tego nie zabraknie, z tym tylko zastrzeżeniem, że świadome bohaterstwo wolnych ludzi z lepszego jest kruszcu. Czyż nie jest bohaterką młoda dziewczyna, która, porzucając świetną karierę, idzie doglądać dzieci — matołki! Albo lekarz, który się wystawia na śmierć, szukając skuteczniejszych leków dla chorych? Chwała Lindberga, który wyleciał w mrok, żeby jednym skokiem szalonym przebyć ocean, czy nie większa jest od chwały jego przodków Wikingów, szukających na wątłych łódkach łupu?

A: Moi bohaterowie to ci, którzy siłą napiętej jak łuk woli poskramiali wszystkich i wszystko. Jak wielkie fale morskie, idą naprzód przed siebie, druzgocąc najtwardsze skały...

P: A moi budują im tamy koralowe, za którymi jest spokój i bezpieczeństwo od napastniczej fali...

A: Zawsze się wasze szukanie bezpieczeństwa kończy zawodem.

P: Po dniu następuje noc. Ale ja chcę, żeby dzień był jak najdłuższy, żeby noc była krótsza.

A: Gdyby nie wy, zaszlibyśmy już dalej.

P: Gdyby nie my, gdyby nie nasze przegrywane walki, cywilizacja już dawno skonałaby w zaduchu sobkostwa, a ludzkość wróciłaby do pieczar.

A: Nie zrozumiemy się. Zmącił mi Pan tylko spokój.

P: Nic nie jest wart spokój oparty na krzywdzie.

A. Słonimski: nieproszony obrońca

Niepytany, niewołany odezwał się p. Antoni Słonimski na artykuł „Epoki", poświęcony uwydatnieniu specyficznego stosunku całej niemal prasy warszawskiej do ostatniej komedii M. Jasnorzewskiej, z powodzeniem granej niedawno w „Teatrze Nowym". Wielce nieżyczliwie przyjął znakomity satyryk nasz sąd ujemny o swych kolegach recenzentach. Co więcej: postanowił wziąć ich w rycerską obronę i przemówić tym razem w imieniu już nietylko swoim oraz „Wiadomości Literackich", ale całokształtu naszej literatury i czasopiśmiennictwa — od „ABC" do „Zetu".

Nieczęsto zdarza się p. Słonimskiemu reprezentować „jedność narodową"; z tym większym tedy zapałem pochwycił świętą chorągiew, aby uderzyć w rzekome „moralizatorstwo" „Epoki" i zatryumfowawszy nad jej „defetyzmem" wypiąć pierś dumną w splendorze powszechnej aprobaty. Pisarzowi, który sam — słusznie czy niesłusznie — nazwał się „heretykiem na ambonie", i który stale spychany bywał w reprezentowaniu opinii na szary koniec mniejszości, uśmiechnęła się widocznie perspektywa awansu na obrońcę i rzecznika zadowolonej ze siebie gromady. W „heretyku na ambonie" ulotniła się herezja, pozostała natomiast tęsknota za amboną konformizmu.

Tyle razy gromiono go za to, że jest „inny", że nie jest „swój"; raz wreszcie skorzystał więc z okazji, aby skoczyć na grzędę dostojnych, szanujących się kogutów i zapiać w ich solidarnym chórze: „Nie szargać... nie szargać kurnika"!

*„Plecie się bez końca — oburza się p. Słonimski w swej Kronice Tygodniowej *) — o „kapliczkach", o „straganach literackich", o zgniliźnie i bagnie, a trzeba wyraźnie powiedzieć, że stosunki w środowisku literatów są jak dotąd na poziomie znacznie przyzwoitszym, niż w innych środowiskach artystycznych... Pisarze zwalczają się przeważnie ze względów ideowych, i poziom moralny życia literackiego nie upoważnia do takich ryczałtowych obelg i kazań moralnych, jakie znajdujemy w „Epoce".*

Cieszy nas bardzo wspaniałomyślność, z jaką p. Słonimski bierze pod swą protekcję zarówno „względy ideowe" jak i „poziom moralny życia literackiego" w Polsce. Cieszy nas ona, powtarzamy, ale jednocześnie i zdumiewa. Zdumiewa, gdyż kto, jak kto, ale p. Słonimski miał w życiu dość chyba dowodów na to, jak u nas naprawdę wygląda poziom moralny i względy ideowe w polemice zwalczających się pisarzy. Dowodów tych mógłby on znaleźć niemało w swoich własnych „kronikach", rozumiemy wszakże, iż na to, aby siebie samego stawiać za wzór, nie pozwoliłaby mu skromność własna. Pomińmy tedy pytanie, jaki jest „poziom moralny" kronik p. Słonimskiego, i zastanówmy się raczej nad tym, jak przedstawia się artykuł „ideowy" jego przeciwników.

Nie potrzebujemy szukać daleko. Bierzemy pierwszy z brzegu felieton, dajmy na to, p. Karola Irzykowskiego (pierwszy lecz nie jedyny) zamieszczony niedawno w „Gońcu Warszawskim" a stanowiący klasyczny niemal przykład sposobu, w jaki pisarze (na poziomie akademickim) krzyżują między sobą broń „ideową".

Już sam tytuł felietonu jest charakterystyczny, jako poszlaka „poziomu". Brzmi on:

„GAJ WEG, DI - GAMIN!"

Ta wymowna apostrofa powinna była zainteresować p. Słonimskiego tym bardziej, że do niego właśnie jest zwrócona. Posłuchajmy tedy, jak jeden pisarz polski delektuje się osobą i twórczością drugiego:

„P. Antoni Słanimski zaczepił mnie znowu w kronice „Wiadomości Literackich" — tym razem od tak sobie, przy sposobności, obryzgując innych. Może mnie kto przed nim pochwalił, może był w złym humorze dlatego, że w ankiecie „Czasu" nikt go nie zgłosił do nagrody Nobla... Ale tym razem jadę w dobrym towarzystwie: główny atak p. Słonimskiego dotyczy belfrów, zwłaszcza prof. Kleinera, ja zaś wymieniony jestem obok Pomirowskiego i Ostapa Ortwina, — człowieka, któremu p. Słonimski nie wart butów pucować. Ortwin we Lwowie, Żyd, literacki Sokrates tamtejszy, a goj Słonimski, nieuk i literacka czerezwyczajka w Warszawie, — to antypody".

Uff!.. Przystańmy na chwilę, aby odetchnąć po tej galopadzie szlachetnych, „ideowych" argumentów: zawistnik, obryzgujący błotem swych kolegów, pucybut, nieuk i literacka czerezwyczajka — to dopiero wstępna porcja tych przysmaków, którymi utalentowany krytyk chce uraczyć utalentowanego satyryka. O aluzjach do semickiego pochodzenia p. Słonimskiego nie wspominamy, wiadomo bowiem, że stanowią one nieodzowną ozdobę w repertuarze każdego literata, ceniącego dziś swą reputację w kołach dobrze postawionych.

Lecz posłuchajmy dalej:

„W różny sposób ludzie zaczepieni przez p. Słonimskiego starają się z nim uporać, ale zawsze popełniają ten sam błąd, że chcą — właśnie wobec niego — zachować się elegancko i po rycersku. Zaczynają od tego, że uznają jego talent, szmoncesy, niezależność myśli, odwagę cywilną, poczym dopiero wysuwają jakieś trwożliwe „ale". On zaś bada tylko: talent? szmoncesy? odwaga? jeżeli mi to przyznają, to już reszty nie czytam.

...P. Słonimski korzysta u cierpliwego narodu z wszystkich przywilejów gamina (urwisa), nie dając w zamian nic prócz wirtuozostwa w obelgach. To ludzi bierze, bo to działa na zmysł uliczn'kowski w każdym człowieku, ale to jest w randze coś jak pornografia. P. Słonimski, marna imitacja prawdziwego gamina literackiego, nieudały uczeń Nowaczyńskiego i Makuszyńskiego, ma za ciasne horyzonty, za małą duszę, a przede wszystkim wyjątkowo ubogą intuicję intelektualną, i przeto jest oddawna niewypłacalny".

Sprowadzając swego partnera w turnieju literackim do rangi ulicznika, pornografa i marnego naśladowcy wzorów niezbyt zresztą wyszukanych, Irzykowski nie poprzestaje na ogłoszeniu jego bankructwa. On na pożegnanie chciałby go jeszcze zdzielić pięścią między oczy, przy czym osobistą inwencją dzielnego polemisty jest to, że do tej rozprawy wolałby użyć ręki cudzej;

*) *„Wiadomości Literackie"*, Nr. 21.

„Przekonywać p. Słonimskiego! Ależ on każdą sprawę od razu stawia na takim poziomie, że zaczepionemu nie pozostaje nic jak tylko... jak to, czym swego czasu zagroził mu Łużyc-Wańkowicz, gdy p. Słonimski zbyt gorliwie się nim zajmował. I nasz gamin, widząc olbrzymie bary Łużyca, podwinął ogon pod siebie, ucichł i uciekł, by szukać sobie mniej groźnych pod tym względem ofiar".

Czy już koniec tej pieśni bojowej? Nie. Jest jeszcze akord końcowy, będący otrąbieniem zwycięstwa? P. Słonimski ma w sobie krew semicką, a właściwością tej krwi w oczach pewnego gatunku „hurrapatriotów" czyż nie jest „arogancja"? Otóż dla utalentowanego krytyka z oficyny literackiej „Gońca" p. Słonimski jest właśnie wcieloną arogancją:

„To nie skromny trzęsący się Chaplin, który jest również gaminem, — o nie! Zobaczcie go w teatrach, w kawiarniach: jak wsadziwszy ręce w kieszenie od spodni, podwinął poły surduta tak, aby się odsłaniało jego właściwe oblicze, jego pogotowie impertynencji, aby go każdy i z tyłu poznał. To jest jego styl".

Czy taki rzeczywiście jest styl p. Słonimskiego? Pytanie to nie leży na linii naszych dzisiejszych rozważań. Być może, od stylu p. Słonimskiego nie jest daleki styl jego pogromcy, który, sycąc zemstę, podwinął przeciwnikowi poły surduta, aby uwydatnić jego „właściwe oblicze", a nie spostrzegł, że odsłonił lustro, w którym sam się przejrzał, jako rycerz gotowy chodzić na wyprawy karne przeciw arogantom, ale w towarzystwie barczystego Łużyca. Nam chodzi tu nie o merytoryczną stronę sporu, ale o jego poziom moralny, o względy ideowe, dyktujące polemistom wybór i użytek broni. Chodzi nam o to właśnie, co w tak gorliwą wziął obronę p. Słonimski, jako skarb, zagrożony przez „Epokę".

Choć od znamiennego felietonu p. Irzykowskiego upłynęło dobrych kilka tygodni, nie słyszeliśmy o tym aby p. Słonimski zajął wobec niego stanowisko. Nie potępił go. Nie próbował go odeprzeć. Nie dał nawet poznać po sobie, że go zauważył. Wolno, oczywiście, autorowi „kronik tygodniowych" mieć „feler na ucho" tyle razy, ilekroć tego wymaga jego roztropna taktyka. Roztargnienie jest wadą, którą można usprawiedliwić. Lecz gdy się roztargnienie własne podnosi do godności bazy, która ma być podstawą sądów o ideowym i moralnym poziomie życia literackiego; gdy się przemilcza takie okazy poziomu, jak „Gaj weg, di-gamin", a szuka odwetu w opryskliwej zwadzie z „Epoką", to takie roztargnienie graniczy z dywersją o bardzo niemiłym posmaku.

„Nie wiem — obraża się p. Słonimski — czemu na conto literatury zapisał p. Grot zarówno metody prasy brukowej, jak i jakąś idiotkę z prowincji, która oskarżała naczelnego wodza (Piłsudskiego) o przywłaszczenie sobie pary butów".

Ależ wyniosły panie Słonimski! Cóż poradzimy na to, że znakomici luminarze literatury zstępują właśnie do prasy brukowej, by farbami, zaczerpniętymi z jej palety, malować wizerunki swych utalentowanych kolegów. Cóż pan im, panie Słonimski, odpowie? „Gaj weg, di-gamin?" Ależ to oni w ten sposób właśnie rozprawili się z panem, z góry dziękując za obronę i odsiecz, z jaką pan, panie Słonimski, nadbiegł im, nieproszony. *A. Grot.*

Wspólnota Interesów

Konsekwentnej polityki gospodarczej w Polsce nikt nie uprawia. Natomiast wszyscy wysilają się w kierunku propagowania wiary, wręcz rytuału ekonomicznego, któremu nie wolno przeciwstawiać żadnej samodzielnej myśli. Nie uprawia polityki gospodarczej o wiadomym programie z całą pewnością żaden z resortów ministerialnych. Bo chyba nie jest programem — w momencie gdy się całkowicie zakorkowuje ustawami reglementacyjnemi obrót handlowo - płatniczy — wykazywać mikroskopowe nadwyżki i poświęcać im zgoła nieproporcjonalne wywody propagandowe... choćby przez radio. Nie ma programu gospodarczego jedyny bank inwestycyjny w Polsce, t. j. Fundusz Pracy, o którym nie wiadomo czy chce ożywić w Polsce produkcję i zwiększyć dochód społeczny, czy też woli unieruchomić swe kapitały w bezzwrotnych inwestycjach, a wzmóc dochodowość wybranych kilku przemysłów surowcowych. Nie znany jest również program gospodarczy, a raczej ściśle mówiąc nie istnieje on zupełnie, w największym naszym koncernie przemysłowym, który — nazywa się Bankiem Gospodarstwa Krajowego.

Bank Gospodarstwa kredytuje takiej np. Wspólnocie Interesów — według oficjalnie ogłaszanych bilansów, — kilkanaście milionów złotych, a Wspólnota Interesów wpłaca drobną część z tego kredytu państwowego Kasie Skarbowej na Śląsku pod tytułem wygospodarowanych przez nią nadwyżek, a więc z podatków bezpośrednich. Naprawdę doskonały pomysł. W ten sposób nietylko sanuje się ledwo dyszące giganty przemysłowe — ale równocześnie zarabia na tym Skarb Państwa. I niema w tym żadnej niekonsekwencji, jeżeli w tym samym czasie mówi się z trybuny ministerialnej o potrzebie t. zw. rozrostu inicjatywy prywatnej i o t. zw. przerostach etatyzmu. Ale jedno jest pewne: nie mamy programu polityczno-gospodarczego. Albo inaczej: właściwie tylko jedna organizacja w całej Polsce program taki ma i właściwie ona jedna stale go umiejętnie realizuje. Naturalnie Lewiatan. Lewiatan gdyby, był szczery, wypisałby w Polsce na swym sztandarze „śmiejmy się, kto wie czy świat potrwa jeszcze dwa tygodnie". Albowiem Lewiatan może się faktycznie śmiać — i pocichu to zresztą robi — z wszelkich groźnych zapowiedzi pod jego adresem. Światoburcze pomysły przeciwlewiatańskie nie mają w Polsce nawet trzechtygodniowego żywota. Znamy przecież dobrze walki z kartelami. Wśród zwycięskich hymnów i poprzez bramy tryumfalne wyprowadza się na szafot najgroźniejsze kartele w Polsce. Np. rozwiązano tak wielkie giganty, grożące równowadze ekonomicznej kraju, jak kartel sznurowadeł i „Torebkopol", syndykat torebek na owoce. Konwencja węglowa i kartel hut patetycznie zaprotestowały przeciwko zniżkom cen.

Do grona Lewiatana, do jego najpotężniejszego trzonu zaliczała się od samego początku Wspólnota Interesów. Własność niemieckiego króla stali Flicka, Wspólnota Interesów, była precyzyjnym i doskonale działającym narzędziem w ręku niemieckiej polityki ekonomicznej. Mając więcej, niż połowę udziałów w głównych surowcowych umowach kar-

telowych w Polsce, mając decydujące wpływy na politykę głównych wielkoprzemysłowych zrzeszeń gospodarczych, jak Unia przemysłowa w Katowicach, (nazywająca się doniedawna Berg u. Hüttennmannverein"), czy Centralny Związek przemysłu w Warszawie, mając za pośrednictwem tych zrzeszeń gospodarczych wpływy na samorząd gospodarczy w Polsce, a więc na Izby Przemysłowo-Handlowe, — Wspólnota Interesów, jako jawna ekspozytura niemieckiej polityki ekonomicznej, nadawała ton i kierunek polskiej polityce przemysłowej. Czy należy się temu dziwić, że eksport Polski, mogący przecież zaszkodzić eksportowi niemieckiemu, spadał, że szereg gałęzi przemysłu przetwórczego w Polsce nie powstawał — by zainteresowany przemysł niemiecki mógł do Polski importować swe własne wyroby. Było jasne, że w tych warunkach kraj w zakresie swego uprzemysłowienia musi się cofać i rozbrajać. W tym czasie jednak Lewiatan wyprawiał najgłośniejsze brewerie, wołając o potrzebie uzbrojenia kraju, tym samym o potrzebie zwiększenia rentowności przemysłowej, czyli renty kartelowej. Było to bowiem w erze swobodnego wywozu dewiz, kiedy to organizacje lewiatańskie, zawodowo „zbawiające ojczyznę" względnie ich członkowie, mogli bez ryzykowania procesów o przemyt — wywozić zagranicę t. zw. nadwyżki bilansowe. Tu się zaczyna sprawa ocierania się dysponentów wielkiego przemysłu o kodeksy karne. Na tym tle dochodzi do ustanowienia nad Wspólnotą Interesów zarządu sądowego.

I oto znajdujemy się bezpośrednio w obliczu ziejącej wprost próżni w naszej polityce ekonomicznej, względnie w uświadomianiu sobie jej celów. „Wspólnota Interesów", objęta przez zarząd sądowy, a ściślej mówiąc przez zarząd osób, zaleconych przez departament górniczo-hutniczy Ministerstwa Przemysłu i Handlu, wchodzi wraz z całym swym żywym i martwym inwentarzem, siedmioma hutami i stalowniami, tylomaż kopalniami i z dwukrotnie wyższą liczbą warsztatów mechanicznych — w rozwarte objęcia, — Lewiatana. I właściwie nic się nie zmienia. W okresie gdy Lewiatan toczy podjazdową a także i jawną wojnę gospodarczą z rządem, gdy potrząsa na konferencjach z delegatami ministerstwa statystykami zatrudnionych przez siebie robotników, grożąc sabotażem i lokautem, gdy macza swe wyperfumowane ręce w ruchach strejkowych w różnych punktach kraju, na dowód, że zniżka cen, to zniżka dochodu szerokich warstw — natenczas zasiada w Lewiatanie i bierze udział w jego machinacjach — już nawpół upaństwowiona, a znajdująca się pod zarządem sądowym, a w końcu przejęta przez skarb, Wspólnota Interesów. O tej samej Wspólnocie Interesów, względnie o jej organizacjach kartelowych pisze się w tym samym czasie, że zawiera układy eksportowe wręcz niekorzystne dla polskiego bilansu handlowego, że przeciwdziała rozwojowi przetwórstwa krajowego na rzecz przetwórstwa obcego. A więc: Wspólnota Interesów, bez względu na to czy rządzona przez kapitalistę niemieckiego, czy przez polski kapitał państwowy— spełnia rolę dla badacza wewnętrznej polityki ekonomicznej w Polsce — conajmniej niezrozumiałą.

Ale inna rzecz dziwna: Wspólnota Interesów przechodzi oficjalnie do rąk państwowego kapitału państwowego. Następują odpłatne rozrachunki z Flickiem. Część prasy t. zw. liberalnej ogłasza dłuższe rozważania, że jest to wzmacnianie etatyzmu. Owszem. Ale co to właściwie znaczy wzmacnianie etatyzmu? Czy jest istotna różnica pomiędzy anonimowym towarzystwem, korzystającym z ulgowych kredytów w Banku Gospodarstwa, z prawa odpisywania tych kredytów, z premij eksportowych i z rządowych zamówień interwencyjnych, tak jak właśnie dzieje się we wszystkich bez mała wielkich przedsiębiorstwach przemysłowych w Polsce — a towarzystwem, czy spółką, która korzysta z tychsamych przywilejów, prowadzi tę samą politykę, a tylko pod zastaw tej swojej pracy oddała akcje swe do kas Banku Gospodarstwa Krajowego. Cała dyskusja o etatyzmie, przy dzisiejszej sytuacji, jaką sobie zdołał wywalczyć wielki przemysł, t. j. przy dzisiejszych rozlicznych metodach i sposobikach dożywiania wielkiego przemysłu z budżetu państwa, a więc z kieszeni podatkowców, a z drugiej strony zasilania tego przemysłu z tych samych kieszeni przez nadmierne obciążanie wysokimi cenami konsumcji krajowej — jest niepoważnym okłamywaniem siebie przez dyskutentów. Nie wiadomo właściwie jak jest: czy państwo etatyzuje, a więc podporządkowuje sobie wielki przemysł, czy też wielki przemysł, pozwalając się etatyzować, podporządkowuje sobie faktycznie aparat i kasy państwowe. Kto jest gwałcicielem a kto jest gwałconym? Faktem jest, że Lewiatan śmieje się w kułak, że sam na łamach, finansowanych przez siebie pism, bolejąc nad gospodarką prywatną, której znaczący członek w osobie Wspólnoty Interesów przesunął się do grona gospodarki państwowej — równocześnie wyznacza zaszczytne fotele w swych najwyższych władzach dla nowych zarządców nowej Wspólnoty. Więc co się w istocie samej zmieniło? Czy Wspólnota Interesów wystąpi z konwencji węglowej i z kartelu żelaza? Czy Wspólnota Interesów będzie rozwijać te przemysły przetwórcze, które dotychczas były bezwzględnie przez nią tępione. Czy Wspólnota Interesów zaprzestanie za pośrednictwem biur Lewiatana finansować kłamliwą i bezwzględną propagandę wielkiego przemysłu w Polsce o potrzebie wysokich ceł, wysokich cen, niskich płac robotniczych, a wysokich uposażeń wodzów lewiatańskich? Czy Wspólnota Interesów ma wogóle jakikolwiek program ekonomiczny przed oczyma? Czy Wspólnota Interesów służyć ma raczej tylko do tym ściślejszego podporządkowania wspólnych interesów kraju — indywidualnym interesom jednostek?

A. D.

Feliks Jabłczyński

Rodowód człowieka zwyczajnego

Literatura polska jest przebogata. Jest tak bogata, że aż niekiedy jej się wydaje, iż może być marnotrawna. Takim świadectwem (jakże znamiennym) jest rozproszenie po czasopismach i dawno wyczerpanych książkach całej literackiej twórczości Feliksa Jabłczyńskiego, sławnego akwaforcisty, ale i mądrego, wybornego pisarza. Opowiadanie, które dajemy poniżej poraz pierwszy ukazało się w druku przed laty trzydziestu. Ale każdy, kto je pozna obecnie, przysiągłby, że napisane zostało dzisiaj. Że dziś z cięciwy srebrnego łuku światłonoścy puszczona została strzała, aby ugodzić stężałe serce mroku.

Redakcja „Epoki".

Skrzyżował ręce na piersiach i założył nogę na nogę. Na ustach jego cienkich i gładkich, zamajaczał uśmiech lekki i drwiący, który błąkał się po nich przez pewien czas, niezdecydowany, aż zniknął...

— Człowiek? — zaczął po chwili, cofając się w głąb fotelu — najzwyczajniejszy poczciwiec pod słońcem? zwyczajny? A wiesz, z kim to w chwili rozdrażnienia postąpiłeś tak bezceremonialnie?

Zdziwiłem się. Ten, o którego pytał, był to właściciel małego handlu mydeł, świec, olejów, szpagatu i in. tego rodzaju towarów, mieszkający o kilka pięter niżej, człowiek średniego wzrostu, krępy, lat czterdziestu, ubrany w wytłuszczoną szaraczkową kurtę i takież spodnie. Twarz dosyć pospolita, czoło niskie, spojrzenie drobnego kramarza, badawcze, podejrzliwe, z wyrazem chciwości i sprytu — zdradzające wiele rzeczy, ale nic nadzwyczajnego. Zapewne pochłonięty był całkowicie drobną ale zaciekłą walką o byt, zapracowany — słowem jeden z rodzaju tych, których pełno jest na świecie.

— A więc posłuchaj — rzekł mój gość, usadowiwszy swą wątłą figurę jeszcze głębiej w fotelu. Jest to długa historia, więc postaram się opowiedzieć ją krótko. Poczciwiec twój, zajmujący się od jedenastego roku życia handlem świec, stearyny, mydeł i t. d. wygląda bardzo nieszczególnie. Od trzydziestu lat pracuje od 4-ej rano do 11-ej wieczorem z wyjątkiem wielkich świąt uroczystych. Kupuje i sprzedaje zapałki, ocet, naftę, szkła do lamp i t. p. Nie ma żadnych dążeń, oprócz pragnienia zarobku. Jest ograniczony, chociaż sprytny. Potrafi zaledwie czytać i pisać. Niczym nie był i niczym nie będzie. Po kilkunastu latach, pewnego pięknego dnia zachoruje i zejdzie z tego świata bezpotomnie, jako ostatnie ogniwo łańcucha ludzi, który ciągnął się... jak ci się zdaje? jak długo?

Ruszyłem ramionami.

— A więc posłuchaj! Ojciec jego urodził się w 1835 r. na wsi i w 17-ym roku życia jako ogrodnik przywędrował do Warszawy szukać zajęcia. Znalazł je. Przez 30-ci kilka lat hodował kapustę, kalafiory, sałatę etc. i sprzedawał je na targu. Umarł młodo, z wrzodu na nodze — z zakażenia krwi, pozostawiając młodą żonę i dwóch synów. Jednym z nich jest twój Kolankowski — bo tak się obecnie nazywa. Jego ojciec ogrodnik nazywał się zwyczajnie: Kacper Kolano. Dziad zaś miał 3 żony i 17-cioro dzieci. Rozumiesz teraz dlaczego ogrodnik Kacper Kolano musiał opuścić wieś i szukać zarobku w mieście.

Kiwnąłem głową na znak, że jest to najzupełniej jasne.

— Pradziadek obecnego Kolankowskiego urodził się w roku 1771. Mamy więc do czynienia z przodkiem, który bądź co bądź żył w wieku oświecenia. Jest to nieprawdopodobne, sądząc z wyglądu jego prawnuka. Ale to trudno! Każdy z nas, bez względu na swój wygląd, musiał mieć protoplastę w XVIII w.! Mógłbym ci wyliczyć w ten sposób jeszcze kilku przodków nafciarza, w prostej linii, aż do roku 1659. Nazywali się Mateuszami, Łukaszami, Janami w oleju — byli to chłopi, żenili się z chłopkami w okolicy. Bardzo uczciwi ludzie, uprawiali rolę w pocie czoła i znosili pańszczyznę. Siedzieli pod Stopnicą, przeniesieni tam z okolic Gniezna, gdzie w pamiętnym roku 1555 zostali przywiązani do ziemi znanym prawem pańszczyzny. Na dwa pokolenia przedtym w roku 1511 urodził się protoplasta ich rodu, który się schłopił. Ojciec jego był jeszcze szlachcicem, nazywał się Kolankowski herbu Kruk. Twój sąsiad, tak niepozornie wyglądający, ma prawo do nazwiska, które sam sobie zrobił i do herbu, chociaż o nim nie wie. Kolankowscy zanim się skmiecili, należeli do lepszych rodów w Wielkopolsce. Niestety ród wystrzępił się. Zniszczyły go wojny i polityczne zmiany. Ostatni potomek Kolankowskich zmarnował resztki fortuny na spekulacjach w Gdańsku, w r. 1536 zaciągnął się w poczet pancernych, a w 3 lata później za gwałt skazano go na śmierć wyrokiem trybunału w Lublinie. Uciekł z kraju, tułał się przez pewien czas po świecie, wreszcie ożenił się z chłopką spod Gniezna, gdzie w kilka miesięcy po ślubie, zabito go w karczmie podczas bójki. Zostawił syna. Ten właśnie rozpoczął ród chłopski.

— Więc mój sklepikarz ma wcale niezłą przeszłość?

— Tak, jeżeli nie będziemy brali pod uwagę 12-u „mezaliansów" popełnianych przez jego przodków w ciągu czterech ostatnich stuleci. Ale idźmy dalej. W roku 1485 rodzi się Maciej Kolanko, jeden z siedmiu braci. Wszyscy z wyjątkiem Macieja umierają bezpotomnie. Są to synowie Michała Kolanko, kanonika wieluńskiego, urodzonego w roku 1460... Kanonika? Uspokój się, był wtedy zwyczajnym księdzem, a nadto zwolennikiem Hussa. Wtedy dopiero został kanonikiem, gdy się nawrócił. Był to człowiek, o którym można pisać tomy — ludzkość rzadko kiedy wydaje na świat podobne okazy. Ale mniejsza o to. Ojciec jego, Michał, miał ojca urodzonego w roku 1410. Było mu na imię Krzysztof. Ten zginął pod Warną.

— Przodek mego sklepikarza zginął pod Warną?

— Jest to fakt nie ulegający żadnej wątpliwości. Przodkowie każdego z nas przechodzili różne koleje. Dziad Krzysztofa urodzony w 1322 r., nazywał się dosyć poważnie, mianowicie Krzysztof Godfryd von Köln. Niemiec. Pan na Felsenau w Saksonii. Przezwisko Kolanko — było zwyczajną przeróbką z Köln.. Ojciec jego pochodził z Saksonii, miał

prawo do tytułu von Felsenau,, ale prawo... kaduka. Zdobył je bowiem w ten sposób, że na czele zbrojnej bandy napadł feodalny zamek Felsenau, wymordował członków siedzącego tam rodu, z wyjątkiem córki, którą pojął za żonę. Ale w posiadaniu tym sposobem nabytej własności nie mógł się utrzymać długo. Pobity i wypędzony, musiał uciekać pod Gniezno, gdzie znalazł nową żonę, Polkę. Otóż ow pan na Felsenau z Köln (z czego później zrobiło się Kolanko) za młodu był zwyczajnym kupcem w Kolonii i pochodził z mieszczańskiego rodu Beckhofferów. Pierwszy członek Beckhofferów, przed stu laty, w r. 1155, urodził się w Lombardii jako syn jednego z wodzów Fryderyka Barbarossy. Historia Beckhofferów jest historią kultury mieszczańskiej z nad Renu. Jeden z ich, Bruno, był sławnym w swoim czasie śpiewakiem pieśni miłosnych, a drugi malarzem. Okres lombardzki, ni mniej ni więcej tylko Domenico Visconti — z rodziny, która odegrała tak wielką rolę w historii Mediolanu i całych Włoch północnych. Pierwszy Beckhoffer jest jego nieprawym synem.

— Rodzina Viscontich! poważyłem się wtrącić. Zmierzywszy sznur wieków, ludzi i pokoleń, który ciągnął się wstecz, w czasy ubiegłe, rozpoczynając od osoby owego sklepikarza.

— Tak! Ród Viscontich zjawia się w Rzymie w roku 743 w postaci protoplasty Piusa Visco. Ów Visco zginął w tumulcie na Via Latina przy wypędzaniu ostatniego cezara. Mógłbym ci pokazać kamień, na który wysączyła się wtedy krew, płynąca w żyłach twego niepozornego sąsiada, który ma sklep na Tamce. O Viscontich mógłbym powiedzieć b. wiele. Średniowieczna polityka, walki z Maurami, z Wenecją, z papieżami, krzyżowe wojny, napady barbarzyńców północnych dostarczyły im aż nadto materiału do stworzenia sobie pięknej i obfitej w szczegóły historii. Twój nafciarz ma na prawym uchu niewielką narośl. Jest ona dziedziczna i powtarza się co kilka pokoleń. Miał ją w XI w. jeden z największych awanturników owych czasów. Teobaldo Visconti, miał ją Godfryd z Kolonii, miało ją kilku Beckhofferów, kilku Kolanków, wreszcie dziad i pradziad sklepikarza. Gdybyś kazał mu rozebrać się, spostrzegłbyś na prawym łokciu czarne znamię. Zdobiło ono kiedyś jedną z najpiękniejszych kobiet Lombardii — Teodolindę z Mantui! Straszna historia! Teraz sprzedaje szkła do lamp!

Idźmy dalej. Pio Visco, o którym mówiłem, urodzony w roku 721 jest piątym z kolei Visciem, którzy od roku 580 siedzieli w Spalato, jako ród kupiecki i rozbójniczy. Pochodzili z Bizancjum, chociaż nie byli Grekami. Protoplasta ich przyszedł nad Bosfor od Serbów Łużyckich i nazywał się zwyczajnie Witko! Ród twego sklepikarza objechawszy Alpy od zachodu słońca, wraca w okolice Gniezna od wschodu. Trwa tu jako ród słowiański przez całe sto lat od r. 410. Do tego czasu koleje jego są barbarzyńskie. Przez siedem bowiem pokoleń pod rząd koczuje po równinach obecnego Afganistanu. Nie myśl jednak, że krew jego była tatarska albo turecka. W drugim wieku po Chrystusie państwo Mitrydatesa zostało, jak wiadomo, rozbite. Otóż jeden z wodzów nieszczęśliwego króla królów, tułał się wraz z rodziną po górach Armienii. W roku 196 syn jego był tragarzem w Trebizondzie, wnuk zaś, porwany przez koczującą bandę, staje się protoplastą siedmiu wojowniczych pokoleń, które znaną drogą między Uralem i Morzem Kaspijskim, przez stepy południowej Rosji, przez Węgry dostają się na wschód środkowej Europy. Tam właśnie wsiąkają w Serbów Łużyckich i dają początek Witkom. Ci następnie zmieniają się na Visców, Viscontich... itd. Ale wracam do wodza Mitrydasowego. Okazuje się, że rodzina jego jest tylko przez trzy pokolenia perską, t. j. do roku 96 po Chrystusie, kiedy to ostatni Kahias, przedstawiciel rodu Melanidów, zostaje umęczony w Kappadocji jako gorliwy wyznawca Chrystusa.

Tu mój przyjaciel poprawił się w fotelu.

Ród Melanidów siedział przez pewien czas w Jeruzalem. Jeden z tego rodu należał do gapiów, przypatrujących się ukrzyżowaniu Chrystusa i obu łotrów. Trudnił się wtedy, jako dziesięcioletni chłopiec, sprzedawaniem fig suszonych.

Rozszerzyłem oczy. Kolankowski? Sklepikarz miał przodka, który szedł razem na... Golgotę?

— Wszyscy musieliśmy mieć jakiegoś dalekiego przodka, który obracał się gdzieś na świecie w czasach, kiedy męczono Chrystusa. To rzecz jesna. Nie spadliśmy z nieba, samorództwo nie istnieje. Ojcowie nasi musieli mieć ojców, ci swoich ojców i t. d. Kolankowski jest tylko o tyle szczęśliwszy od nas, że przodek jego w męskiej linii siedział podczas męki Chrystusa w Jerozolimie, podczas gdy mój lub twój, wydłubywał reniferowy szpik gdzieś w Finlandii, albo walczył z wojskami rzymskimi nad Dunajem, albo hodował miód i pszczoły nad Przemszą. Ale mniejsza o to. Z pobytu przodków Kolankowskiego w Jerozolimie możnaby wywnioskować, że jest on Żydem. Owszem, przez trzy pokolenia. Cofnąwszy się o sześć pokoleń wstecz znajdujemy przodka Kolankowskiego w szeregach Aleksandra Macedońskiego, dokąd dostał się prostą drogą, jako nowozaciężny procarz Scyta.

Z tego, co powiedziałem, możesz wyobrazić sobie, jak w dalszym ciągu, w głąb wieków, szła linia przodków naszego zwyczajnego człowieka. Kręciła się wtedy przez czas pewien po stepach Scytii, między Dnieprem, Donem i Kaukazem, cofając się to na północ, to zbliżając się do wybrzeży Morza Czarnego. Podczas tego na półwyspie greckim i w Azji Mniejszej działy się znane rzeczy — wojna Peloponeska, minął okres Peryklesa, skończyły się wojny perskie, czasy tyranów, wyśpiewał pieśni swe Homer, odbyła się wojna Trojańska. W czasach legendarnych znajdujemy przodków naszego zwyczajnego człowieka na wschodzie Morza Czarnego, nad brzegami Renu, w starożytnej Kolchidzie, dokad Jazon jeździł z Argonautami po złote runo. Kolchida była kolonią egipską. To też linia przodków Kolankowskiego wraca się wreszcie ku Egiptowi, zaczepiając w drodze o Babilon. Obejmuje okres, licząc wraz z okresem scytyjskim, przeszło tysiąc lat, to jest 37 idących po sobie pokoleń. Scytyjscy przodkowie Kolankowskiego, chociaż prasłowianie, nie wiele przynoszą mu zaszczytu. Natomiast 4 pokolenia babilońskie, oraz 11 egipskich należą właściwie do najświetniejszych. Mówiąc nawiasem, mumia, znajdująca się w warszawskim muzeum etnograficznym, przywieziona z Egiptu przez dr. Goldflama, jest jednym z przodków Kolankowskiego z Tamki. Linia

jego rodu idzie dalej, kręci się po dolinie Nilu, w zamierzchłych wiekach zbliża się do wybrzeży wschodniej Afryki, przechodzi na Madagaskar, zmierzając ku starożytnej, nieistniejącej obecnie Leunirii, aż wreszcie, wreszcie zagłębia się w lasy pierwotne, w jaskinie, wchodzi na drzewa, by w końcu rozpłynąć się w czasach geologicznych, kiedy to siły natury, w mroku prawieków, odbyły cudowną przemianę z małpy na człowieka. A teraz pomyśl. To byli ojcowie. A matki? 12 matek-chłopek polskich, 5 ze szlacheckich rodów również polskich, 4 niemki, 11 żon Vincontich, z których 6 było Włoszek, 1 Greczynka, 2 Francuski, 1 Niemka i 1 Dalmatynka, dalej 5 matek Visco — przeważnie Albanki i Greczynki, 4 słowiańskie matki Serbki łużyckie, dwie z nad dolnej Wisły. Następnie matki barbarzyńskie, przeważnie porywane z rozmaitych szczepów i ludów! Były między nimi Persjanki, Armenki, Hinduski, Chaldejki, Żydówki, Arabki etc. Jeżeli tedy wyobrazisz sobie, że każda pierwsza lepsza matka ma, albo miała mniej więcej podobny rodowód co nasz Kolankowski, wtedy dopiero przyjdziesz do właściwego przekonania, czym jest tak nazwany przez ciebie **człowiek zwyczajny!...**

— W szczegółach — tak! Ale co do zasady?

— Patrzymy w historię i widzimy... w książkach szereg wieków przeszłości: na kartach historii, w dokumentach pisanych, rzeźbionych i malowanych. Czas rysuje się we wspaniałej panoramie państw, wojen, tronów, miast i ludzi... Tymczasem każdy człowiek, dziś żyjący, ma w krwi własnej tak ogromną przeszłość! Czym są dokumenty rodowe, jeżeli odrzucić przywiązane do nich prawne, państwowe przywileje, znikające dziś z kodeksów współczesnych coraz bardziej, równając z sobą stany? Świadectwem ciągłości pokoleń uprzywilejowanych przez jeden, dwa, trzy wieki najwyżej! Nie ma u nas rodziny najbardziej arystokratycznej, której papiery, stwierdzające jedność krwi i rodu, ciągnęłyby się dalej niż poza wiek XVI. Ogromna większość naszej arystokracji sięga zaledwie w wiek XVII a ogromna większość szlacheckich rodzin jest bardzo świeżej daty i już osiemnasty wiek jest dla nich pierwotnym czasem nieprzebitych mroków zupełnego nieistnienia. Tymczasem i oni mają przeszłość, i kto to może wiedzieć, jaką? Przez czas historii narody i potomstwa mieszały się z sobą, powstawały i padały warstwy panujące, rozpływali się w szarych masach. Nie wszyscy wielcy ludzie mieli potomków, ale wszyscy żyjący muszą mieć wielkie szeregi przodków. Antropologia — jej dział poznania człowieka — antropognozja, czy jak nazywać się będzie, musi ów materiał bogaty zbadać, zanalizować, rozłożyć na pierwiastki i złożyć z nich nowe, czystsze typy ludzkie, zarówno dobre jak i złe, chociaż tylko w teorii, na papierze. Oddawna robi to życie, robi to sztuka: z kolei musi się wziąć do tego nauka i to możliwie ścisła.

***

Ładny dzień w wielkim, ludnym mieście. Po głównych arteriach ruchu ciągną chodnikami tłumy. Siedząc w wygodnym miejscu, na otwartej werandzie można obserwować. Chwilami doznaje się wrażenia, jak gdyby patrzyło się z wybrzeża na morze lub na szeroko płynącą rzekę. Fala idzie za falą, gęstnieje, rzadnieje, spokojniejsza, to ruchliwa.. Tysiące twarzy, wyrazów, ruchów przesuwa się przed oczyma; początkowo jako szara jednostajna masa, jako tłum podobnych do siebie, zwyczajnych ludzi. Powoli w tłumie zwracają naszą uwagę pojedyncze twarze, wybitniejsze indywidualności, żywsze ruchy. Wreszcie oko poczyna rozpatrywać każdego z osobna, na chybił trafił, pierwszego lepszego, nie licząc się z jego wiekiem, płcią, klasą, do której należeć może. I wtedy w szarej na pozór masie, powleczonej pokostem jednostajności, w monotonnej jednolitości ludzi, poruszających się w granicach miejskich przepisów policyjnych, poczyna uderzać nadzwyczajna, pstrokata różnorodność typów, cech, drobnych i zasadniczych, powiązanych ze sobą bezładnie. Zdaje się w pierwszej chwili, że ci ludzie są bez żadnej przeszłości, że porodzili się wczoraj, że owa historia, która tak barwnie rysuje się w wyobraźni, wychodząc z ksiąg poważnych i czczonych, nie ma z nimi nic wspólnego. Tymczasem są to potomkowie tylu, tylu, pokoleń. W każdym z nich coś żyje. Na ulicach Rzymu, z kozłów dorożkarskich patrzą na nas te same twarze, które widzimy w muzeach, wykute w marmurze przed tysiącami lat. U nas niestety nie ma sztuki, któraby tak wiernie, mocno i plastycznie dawała nam obraz przeszłości, jak rzeźba, malarstwo Rzymu, Florencji, Antwerpii. U nas można tylko pod tym względem przeczuwać, domyślać się. Ale któż zaprzeczyć może, że stary, siwy jegomość z jasnymi oczyma i zawiesistym wąsem, który wyszedł na spacer, na czarną kawę i gazety, nie jest obywatelem Warszawy od czasów Piastów, czy pierwszy lepszy człowiek wzięty z bruku, nie mógłby pochwalić się genealogią świetniejszą, niż wiele rodów historycznych? Ale nie o rodowość tu chodzi. Wielkie rzesze ludzi są taką samą puścizną wieków, jak i zabytki, inną tylko, często bardziej zrujnowaną, szczególniej dziś. Cechy dobre i złe, zdrowe i chorobliwe, najrozmaitsze rasy, szczepy, narodowości, typy ludzkie składają się na dzisiejsze masy. Są one wiecznie żywym materiałem, z którego tworzą się społeczeństwa, i który wydaje z siebie nieustannie przyszłość w postaci potomków. Segregacja pierwiastków złych i dobrych, oddzielenie zdrowia od choroby, niedobrych przypadkowych mieszanin od szczęśliwych — wydobywanie złota z ludzkiej rudy i odrzucanie zanieczyszczeń, sposoby rozpoznania pierwszego od drugich — to zadania główne nauki o człowieku, oraz praktyki życia, na tej nauce opartej. Szerokie uświadomienie wśród ludzi tego, co jest złem a co dobrem, szkoła, która nie tylko „uczy", nie tylko „rozwija", ale również dzieli, segreguje ludzi podług ich zdolności, uświadamiając je i uczniom i otoczeniu; wreszcie wszelkie instytucje, mające na celu wzmocnienie zalet ludzkich i przeciwdziałanie wadom, nieustannie pracować winny w tym kierunku. A wreszcie ustrój polityczny, społeczny, jego prawa, instytucje i organy. Powinny one być takie, aby opieką otaczały to, co jest w ludziach złotem. Nie do nazwiska, do klas sztucznie utworzonych, lecz do tego jednego pierwiastka — który jest niezniszczalny, zawsze ten sam, od początku wieków, odkąd ludzie pamiętają siebie — powinny być przywiązane przywileje. Przyszły ustrój powinien się formować pod hasłem wyzwolenia tego, co jest dobrem, wszędzie, gdziekolwiek ono spotyka się w człowieku — a przede wszystkim w szerokich

masach demosu, który pomimo demokratyczności ustrojów państwowych współczesnych, jest zaniedbany w dalszym ciągu tak jak dawniej. Obecnie szarpie się on, czując nie tylko ekonomiczną krzywdę, nędzę, upodlenie, — ale daleko więcej, przede wszystkim to, że złożone w nim przez naturę i przeszłość pierwiastki dobrego, nie są w stanie rozwinąć się, żyć jak należy, pobijane przez najgorsze wady ludzkie. Wyswobodzenie Dobra, wolność najlepszych cech ludzkich, ich wzmocnienie, rozkwit, ich twórczość we wszystkich dziedzinach nauki, sztuki, etyki, życia praktycznego, muszą określić charakter najbliższej przyszłości, jeżeli ma być ona nową. Wobec tego poznanie złego i dobrego, określenie jasne jednego i drugiego, sztuka poznawania się na złem i dobrem, nabiera szczególniejszej wagi — jako cnota pierworodna. Chcąc przejść do lepszej przyszłości, trzeba znać dziś dobro i zło lepiej, określać je ściślej i wyraźniej. Nauka możliwie ścisła o złem i dobrem jest jedną z nauk najbliższej przyszłości. Ona wraz z ściślejszą nauką o człowieku da nam dopiero jego rodowód prawdziwy — księgę rodzaju ludzkiego, nawet najzwyczajniejszych ludzi a napewno będzie ona inną, niż ta, którą do dziś napisano. Może daleko pewniej i mocniej pozwoli nam zajrzeć w przyszłość, niż dawne horoskopy astrologów, oparte na datach urodzeń, niż proroctwa o Dawidowych synach, którzy przyjść mają, aby wybawić ludzkość z prochów i naprowadzić ją na drogą nieśmiertelności i szczęścia.

Wydarzenia i dokumenty

NOWE PRZESTĘPSTWA

W Moskwie aresztowano pisarza sowieckiego, Brunona Jasieńskiego. Jeden z najcięższych zarzutów, jakie stawia mu prasa moskiewska, to ten, że w jakimś towarzystwie „chichotał", słuchając antysowieckich anegdot. G. P. U. nie lubi takiego „chichotania"...

Senat karny w Hamburgu skazał kilkunastu oskarżonych na karę od dwóch do sześciu lat więzienia za to, że w mieszkaniach swych słuchali radia moskiewskiego. W motywach wyroku sąd podaje, że „nawet w wypadku, jeżeli ktoś słucha radia moskiewskiego, może to być uważane za przygotowywanie zdrady stanu, tymbardziej przeto za przygotowywanie zdrady stanu trzeba uznać słuchanie radia moskiewskiego przez kilka zgromadzonych osób".

KRWAWIĄCA PROCESJA.

Niedawno wstrząsnęła światem kulturalnym tragedia ludności cywilnej w Maladze. Dr. Norman Bethune, lekarz z Kanady, który z jednym konduktorem Hasen Sisem i z Tomaszem Worsley, szoferem ambulansu Czerwonego Krzyża, również kanadyjczykami, niósł pomoc Hiszpanom, opisał swoje wrażenia z tego dantejskiego piekła*). Stopięćdziesiąt tysięcy ludzi, mieszkańców Malagi i okolic, na wieść o zbliżaniu się wojsk gen. Franco, wyległo w najwyższym przerażeniu, jakgdyby miejscowości te nawiedzić miało trzęsienie ziemi, i ruszyło piechotą z cząstką dobytku w stronę Almerii, mając do przebycia dwieście dwadzieścia kilometrów w okropnych warunkach i bez żadnych zapasów żywności. Ta droga krzyżowa usłana została trupami dzieci, starców i kobiet.

Dr. Bethune wyruszył na spotkanie tej krwawiącej procesji, aby nieść pomoc lekarską. Ci trzej kanadyjczycy, narażeni na przeróżne niebezpieczeństwa, w ciągu siedmiu dni i nocy bez wytchnienia wydzierali z objęć śmierci setki dzieci i kobiet. Sami omdlewając ze zmęczenia, z głodu i pragnienia nie przestawali opatrywać chorych i rannych, zabierać do swojej sanitarki i odwozić do Almerii. Słusznie świat ich nazwał bohaterami, którzy swoim poświęceniem rehabilitują imię dzisiejszej istoty ludzkiej. Największą trudność — wspomina Dr. Bethune — stanowił wybór, kogo naprzód zabierać. Nasza sanitarka była wciąż oblegana przez tłumy matek, oszalałych z trudów i udręczeń: „Bierzcie to dziecko! Zajmijcie się tymi! Te są ranne!" Widzieliśmy dzieci okrwawione, dzieci bose, z spuchniętymi nogami, szlochające rozpaczliwie z bólu, głodu i utrudzenia. Dwieście kilometrów nędzy wyjątkowej. Wyobraźcie sobie tłumy, będące w drodze przez cztery dni i noce, zmuszone w najwyższym napięciu nerwowym chronić się we dnie wśród wzgórz od morderczego ognia samolotów faszystowskich, w nocy zaś posuwać się skłębioną falą mężczyzn, kobiet, dzieci, mułów i kóz. Wśród ciemności słychać było nieustannie rozpaczliwe nawoływania zagubionych członków rodziny. W końcu jeszcze koronując barbarzyństwo, popełniono zbrodnię w upragnionej Almerii: „nie zadowalając się bombardowaniem i ostrzeliwaniem z karabinów maszynowych tej chłopskiej bezbronnej procesji na długiej trasie, dn. 12 lutego, kiedy ten mały port Almeria był już dosłownie przepełniony uciekinierami, niemieccy i włoscy lotnicy urządzili napad niespodziewany na miasto. Syreny alarmowe rozległy się na trzydzieści sekund przed wybuchem pierwszej bomby. Rzucili dziesięć wielkich bomb w sam środek miasta, gdzie na głównej ulicy na bruku spały umęczone masy uciekinierów. Ulica zamieniła się w jedno łoże umarłych i umierających oświetlone łuną płonących domów".

*) *Dr. Norman Bethune:* Le crime de la route Malaga - Almeria. Publicaciones Iberia.

LIST STEFANII SEMPOŁOWSKIEJ

„W Robotniku" ukazał się list Stefanii Sempołowskiej treści następującej:

„Z sercem przepełnionym bólem, wstydem i gorącym współczuciem dla ofiar barbarzyńskich wypadków w Brześciu — wierząc, że społeczeństwo polskie przystąpi do natychmiastowego zorganizowania pomocy dla pokrzywdzonych współobywateli — przesyłam do redakcji „Robotnika" 20 zł. na ten cel".

PANOPTICUM

W *„Małym Dzienniku Niepokalanów"* zamieszczono taki oto „utwór" o rzeźbach w parkach Ujazdowskim i Paderewskiego.

„Zarząd Miejski wśród dzieciarni
i szkolnej młodzieży
nudyzm oraz pornografię
pracowicie szerzy.
Kto nie wierzy, niech obejrzy
sobie wobec tego
rzeźby w parku Ujazdowskim
i Paderewskiego..."

Widać tu, że rym kretynizmowi wdzięku nie dodaje.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA, WARSZAWA, UL. ORDYNACKA 5 — TEL. 213-90 — KONTO P.K O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. REKOPISÓW nie zwraca się

PRENUMERATA kwartalnie — zł. 3.— Numer pojedyńczy 50 gr.

OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40

REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC 3790 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3.